N r. 48. Warszawa, dnia 26 (14) Listopada 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejs: Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BAGNO PANAMSKIE.

„Sprawa panamska nie miała we Francyi poprzedniczki — następstwa jej nie dadzą się obliczyć.“ Tak woła z ciężkiem sercem poważny *Journal des Débats* widząc, że ucho u dzbana, który zbyt długo brudną wodę nosił, urwało się ostatecznie. Wszelkie niecnoty, wszelkie — mówiąc językiem powszechnie zrozumiałym — szwindle mają zawsze swoje kulisy, grube osłony z dobrych pozorów utkane, maski szlachetne, z których obnażyć je i ukazać w całej szkaradzie trudno. Pomimo więc, że zgnilizna moralna zaczęła nagle wydobywać się wszelkiemi szparami sprawy kanału panamskiego, niepodobna dziś jeszcze określić ani jej rozmiarów, ani części składowych. Wiadomo tylko już dziś, że ona przedstawia wrzód olbrzymi, jaki —według *Journ. d. Débats*— jeszcze nigdy nie utworzył się na ciele Francyi. Dla zrozumienia go winniśmy przypomnieć czytelnikom, że „wielki francuz,“ twórca kanału Suezkiego, Ferdynand Lesseps, podjął drugie podobne przedsięwzięcie — przekopanie międzymorza Panama i połączenia dwu oceanów. Naturalnie powstało Towarzystwo, które wypuściło akcye, rozkupione w znacznej części przez drobnych kapitalistów francuskich — sklepikarzy, rzemieślników, włościan itd. Zebrawszy tą drogą potrzebny kapitał i otrzymawszy koncesyę od stanów amerykańskich, rozpoczęto roboty, które naprzód posuwały się bardzo szybko, potem wolniej, a wreszcie zostały przerwane z powodu wyczerpania się środków pieniężnych. Na wieść o „zachwianiu się“ przedsiębiorstwa akcye zaczęły szalenie spadać, wreszcie nastąpiło zupełne bankructwo, które pochłonęło olbrzymią (dotąd ściśle nieokreśloną) sumę oszczędności drobiazgu kapitalistycznego. Ponieważ odrazu dostrzeżono nieprawidłowość działań Towarzystwa i marnotrawstwo jego administratorów, więc przeniesiono sprawę na grunt sądowy i zagrożono odpowiedzialnością Lessepsowi. Proces jednakże zawisł w powietrzu, a rozmaite ministerya, które kolejno się nim zajmowały, przez wzgląd na „wielkiego francuza“ i rozgałęzienie szwindlu, nie kwapiły się z doprowadzeniem go przed kratki sądowe. Wreszcie obecny minister sprawiedliwości, którego nie powstrzymały te skrupuły, a może nawet zgrozą przejmowała kilkoletnia tolerancya i bezczynność rządu, postanowił „na własną rękę,“ tj. bez porozumienia się z innymi członkami gabinetu, wskrzesić i ostatecznie rozstrzygnąć sprawę. Gdy z jednej strony obrzucono go pretensyami i naganami, że nie pozwala doczekać spokojnie śmierci zgrzybiałemu Lessepsowi, z drugiej w prasie i Izbie deputowanych zabrzmiał cały chór oskarżeń przeciwko ludziom używającym powszechnego szacunku i zajmującym wybitne stanowiska. Zwłaszcza bulanżyści wystąpili z szeregiem „odkryć“ najbardziej gorszącego charakteru, twierdząc, że spółka panamska zrujnowała się na przekupstwa, że posłom i dziennikom wypłaciła kilkadziesiąt milionów franków łapówek, że jeden z redaktorów (*Temsa*) otrzymał od niej za napędzanie akcyonaryuszów do sieci przeszło milion fr., że brali wszyscy, którzy posiadali jakikolwiek wpływ, deputowani, senatorowie, ministrowie itd. W tem brudnem gronie mieli się znaleźć nawet Floquet, Freycinet i inni. Wprawdzie ci dwaj odparli oszczerstwo i wyprzysięgli się wszelkiej łączności z szajką panamską, ale to nie zmniejszyło rozmiarów katastrofy, która niewątpliwie napiętnuje cały legion istotnie winnych. Gromada ich drży przed nadchodzącą burzą, niektórzy — jak senator Reinach — chowają się przed sądem do grobu, w Izbie i dziennikach panuje straszliwy gwar głosów zgrozy, usprawiedliwień, oskarżeń i potwarzy. Takiego piekła opinia publiczna we Francyi dawno już nie pamięta.

Rzecz naturalna, że patrząc na ten obraz odsłoniętej zgnilizny zdaleka i nie znając rezultatów śledztwa sądowego, nie możemy wskazać istotnych winowajców i odróżnić oszczerstw od zarzutów słusznych. A nawet wcale nam o to nie chodzi. Czy przestępców okaże się dziesięciu mniej, czy dziesięciu więcej — to nie zmieni ani istoty, ani znaczenia wypadku. W każdym razie pozostanie faktem, że wielkie przedsięwzięcie przekopania kanału panamskiego zniszczyła żarłoczność szarańczy, napadającej pola spekulacyj kapitalistycznych i że zgnilizna przekupstwa rozciągnęła się na wszystkie sfery, rzucające narodowi w oczy piasek szlachetnych frazesów. Nie myślimy tu zaś szczególnie obciążać winą Lessepsa, Eiffla i innych członków zarządu: oni bowiem musieli ugrzęznąć w błocie, gdy ono ich zewsząd otoczyło. O czem dziś wie, a jeśli nie wie, to prędzej czy później nauczy się każdy kierownik geszeftu, opartego na rozległym kredycie, na środkach dostarczanych mu przez masy? O tem, że musi opłacić wszystkich tych, którzy mu grunt ten rozszerzą, utrwalą, a w walce poderwać zdołają. Lesseps i jego wspólnicy rozumieli, że jeżeli Izba nie będzie ich protegowała, jeżeli „pończochy,“ pełne kieszenie i kasy nie rozkupią akcyj i nie dostarczą milionów, przebicie kanału będzie niemożliwe. Zwrócili się tedy do wpływowych redaktorów i deputowanych z prośbą o pomoc, za którą kazano im suto zapłacić w miarę posiadanego znaczenia. Ten ocenił ją na 1,000, inny na 10,000, inny na 100,000, a inny na milion; trzeba było dać. Inaczej bowiem akcye nie weszłyby na giełdę, nikt by ich nie zachwalał, a ten i ów ganił, nikt nie wmawiałby ustawicznie w drobnych i grubych kapitalistów, że osiągną nadzwyczajne zyski, że obok kuponów procentowych odcinać będą kupony „patryotyczne,“ wznosząc narodowemi siłami dzieło wiekopomne. Bez naganki nie upolowanoby tyle zwierzyny, więc myśliwi musieli ją wynająć. Przyczyną bankructwa nie był sam stosunek przekupujących do łapowników, któ-

ry jest dziś w takich wypadkach nieunikniony, ale nadmierna ufność pierwszych i nadmierna żarłoczność ostatnich. W naszej epoce nikt nie rozetnie Ameryki w najwęższym pasku i nie połączy dwu oceanów bez rzucenia żeru psom opinii publicznej; tylko że następcy Lessepsa i Eiffla będą mędrsi, lepiej się obliczą, co mieć muszą i co dać mogą.

Nie uważamy tedy panamskiego wrzodu za wyłączny objaw zgnilizny pewnego koła spekulantów lub narodu francuskiego; jest to bowiem wykwit kapitalizmu wogóle. Że on wyrósł i dojrzał we Francyi, nie przesądza to kwestyi jej zdrowia, lecz sił. Na olbrzymiem ciele tworzą się olbrzymie narośle, na małem — małe. Od takich kanałów francuskich świat się roi, tylko nie wszędzie są one tak wielkie i głośne. Lesseps, przekopując międzymorze, rozdaje łapówki milionowe, a gdzieindziej ktoś przekopując krótki tunel, opłaca się setkami. W zasadzie wszystko to jedno.

Z AUSTRYI.

Prawo państwowe czeskie w parlamencie. — Mowa Plenera. — Chęci matrymonialne. — *Enfant terrible* stronnictwa niemieckiego. — Wotum naganne dla Mengera.

Przyznać trzeba młodo-czechom, że umieją hasłom swym nadawać rozgłos potężny. Dzięki ich zabiegliwości, sprawa „czeskiego prawa państwowego“ nie schodzi od dwóch lat z porządku dziennego w Austryi. Nie można wprawdzie powiedzieć jeszcze, że myśl o monarchii „austryacko-węgiersko-czeskiej“ przestała być mrzonką, ale stała się ona z czasem mrzonką znaną każdemu, powtarzaną codziennie po tysiące razy, niewydrwiwaną już, ale zwalczaną poważnie przez przeciwników, słowem, stała się czynnikiem politycznym.

Dowiódł tego wymownie przebieg dotychczasowy obrad budżetowych. Nawet sam przywódca liberałów niemieckich, Plener, wyraził się w mowie swej o prawie państwowem z oględnością, możnaby rzec, prawie z pobłażliwością wprost wzruszającą. Powiedział on, że nie należy wymagać od przeciwników, żeby się wyrzekli dobrowolnie swych ideałów, choćby urzeczywistnienie ich było tak nieprawdopodobne, jak w obecnym wypadku. Dodał wprawdzie do tych słów łagodnych zaraz długie „ale,“ lecz mimo to wrażenie ogólne pozostało niezmienione. Cechą mowy Plenera w tej części, niemniej jak w innych, była anielska słodycz, pobłażliwość, posunięta do ostatnich granic, wyrozumiałość dla wszystkiego i dla wszystkich.

Ma się rozumieć, że owe grzeczne słowa były przeznaczone przedewszystkiem nie dla młodo-czechów, lecz dla tych zwolenników „czeskiego prawa państwowego,“ którzy posiadają względy hr. Taaffego, tj. dla feudałów czeskich. Im zarówno, jak wszystkim stronnictwom, zbliżonym do rządu, przymilał się przywódca niemiecki w sposób niedwuznaczny. Zwracał się on z zalotami swemi niemniej do Hohenwartowców, jak do Koła polskiego. Cel nie inny, jak przy wszystkich zalotach. Stronnictwo Plenera pragnie obrączki ślubnej; nie chce ono żyć dłużej „na wiarę“ z rządem w wolnej miłości, lecz chce wejść w związek legalny i uroczysty. W takich razach, jak wiadomo, lata wiele znaczą. Niedawno jeszcze stronnictwo niemieckie chmurzyło się wobec niemiłego konkurenta; dziś, gdy postarzało się o kilka sesyj, uśmiecha się doń wdzięcznie i coraz mniej droży się ze swą ręką. Tak to obawa przed staropanieństwem przemaga z czasem wszystkie inne względy.

Bądź co bądź, idea „prawa państwowego“ postąpiła dzięki temu usposobieniu swych przeciwników o krok naprzód. Że istotnie zaszła tu zmiana, drobna wprawdzie, ale znamienna dla taktyki niemieckiej, okazało się niebawem, gdy nieostrożny członek stronnictwa Plenerowskiego spróbował uderzyć w ową strunę, na której niedawno jeszcze grała ustawicznie cała lewica niemiecka. Ze strony czeskiej wskazał poseł Masaryk w ciągu dyskusyi budżetowej z oburzeniem na książkę napisaną przez niejakiego dr. Rutkowskiego p. t. „O obowiązkach niemców w Austryi,“ a wzywającą do konsekwentnej germanizacyi czechów i słoweńców. Odpowiedział mu na to poseł niemiecki Menger, któremu w zbytnim zapale wyrwało się wśród mowy słowo, że domaganie się „czeskiego prawa państwowego“ nie jest niczem innem, jak zdradą stanu. Słowa te wywołały skandal niesłychany, w którym omal nie przyszło do walki na pięście między młodo-czechami a posłami niemieckimi. Czesi nie dali Mengerowi dokończyć mowy i zmusili przewodniczącego do zamknięcia posiedzenia.

Samo to zajście nie zasługiwałoby jeszcze na bliższą uwagę w parlamencie austryackim, dość obfitym w hałaśliwe awantury. Zajmujący jest jednakże dalszy przebieg sprawy. Wszystkie stronnictwa czeskie bez wyjątku złączyły się dla wspólnej deklaracyi, w której zastrzegły się przeciw zarzutowi, uczynionemu zwolennikom „prawa państwowego“ przez Mengera i oświadczyły, że przy prawie tem obstają i nadal, uważając je jako główny cel wspólnych swych dążeń. Równocześnie postawiono ze strony czeskiej wniosek udzielenia Mengerowi uroczystej nagany przez całą Izbę. Kroki te, aczkolwiek wybitne, bo świadczące o większej solidarności pojedynczych grup czeskich od czasu niedawnego zjazdu posłów w Pradze, przecież co do tendencyi są dość naturalne. Zadziwiająca jest natomiast postawa wobec nich ze strony przeciwnej. Prasa niemiecka niezbyt gorliwie zajęła się obroną Mengera, prasa pół-urzędowa potępiła go wprost szorstkiemi słowami. W stronnictwie samem panowało widoczne zakłopotanie, a w komisyi, mającej przedstawić Izbie wotum naganne dla Mengera, Plener wstrzymał się od głosowania, wskutek czego decyzya jej wypadła na niekorzyść posła niemieckiego i wniosek dostanie się istotnie do parlamentu.

Okazało się więc niedwuznacznie już dotychczas, a okaże się może jeszcze wyraźniej przy dyskusyi nad owym wnioskiem w Izbie samej, że własne stronnictwo Mengera uważa go w tym wypadku jako *enfant terrible*, które wypowiedziało niepotrzebnie coś, o czem wszyscy inni woleliby zamilczeć. Na „prawo państwowe czeskie“ nie strzela się chwilowo z armat, lecz tylko cienkim szrutem — bo zachodzi obawa, że można trafić przyjaciół hr. Taaffego.

Oto widocznie najnowsze hasło, wydane w obozie Plenerowskim, oto w pewnem znaczeniu tryumf dla stronnictw czeskich, tryumf, na który złożyły się okoliczności i dążenia najróżniejsze, a z którego skorzystają wyłącznie młodo-czesi, oto wreszcie najnowsze studyum w historyi owej „mrzonki,“ zwanej „prawem państwowem czeskiem.“ Wstępuje ona coraz bardziej w rząd żywiołów rozkładowych, czynnych w organizmie monarchii Habsburskiej.

S—l.

---

1)

BANKRUTKA.

Obrazek.

Północ minęła już dawno. Światło małej naftowej lampki, przy której pisała Helena, gasło powoli. Wiatr, cisnący się przez szpary okien, poruszał arkusze papieru, rozrzucone na prostym drewnianym stole, który zastępował biurko.

Dokoła w ciasnym, nizkim pokoju facyatki wszyscy spali. Cień mroźnej, styczniowej nocy padał na trzy dziecinne łóżka, ustawione pod ścianą. Niknęły w nim kontury długiej, wązkiej kanapy, umieszczonej wprost okna i stołu, przy którym siedziała Helena.

Przeciągły jęk dolatywał stamtąd od czasu do czasu, przerywając nocną ciszę. Tłumiony chwilami nagłem jakby ziewnięciem, przechodził w zgrzyt zniecierpliwienia.

Helena podnosiła wtedy głowę i zwracała ją w stronę kanapy, na której leżał starzec o wychudłej, zżółkłej i pomiętej twarzy.

Wzrok jej w chwilach, gdy spoglądała na ojca, zdawał się mówić:

— Co ja pocznę? W jaki sposób przyniosę ci ulgę?

Niekiedy jęk i głuche, bezmyślne a przeraźliwe zawodzenia starca rozlegały się tak szybko jedne po drugich, takiem ponurem echem odbijając się od murów facyatki, że z małego łóżeczka pod ścianą wychylała się drobna główka dziewczynki. Zbudzona ze snu Tośka, najmłodsza z dzieci Heleny, patrząc na matkę, pytała:

— Co to jest, mamusiu? Czy dziadzio umiera?

— Cicho, cicho bądź! — odpowiadała Helena, przystępując do niej, całując ją i układając do snu napowrót.

W chwilach, gdy Helena podnosiła się z miejsca, krzyk starca przechodził w rodzaj spazmatycznego łkania. Prawa jego ręka, jak gdyby wzywając czegoś, wysuwała się po za poręcze krzeseł, któremi był zastawiony.

Helena otwierała wówczas drzwi drewnianej szafki, wyjmowała z koszyczka kilka skórek chleba i wsuwała je między sztywne, pożółkłe palce chorego!

Łkania i zawodzenie ustawały na czas pewien. Starzec, gryząc chleb, śmiał się sam do siebie i poruszał wargami z miną istoty, której życzenia zostały spełnione w zupełności.

Coś dzikiego było w całej jego twarzy. Żarłocznie, jak zgłodniałe zwierzę, trzymał chleb przy ustach obiema rękami i przeżuwał skwapliwie odgryzione kawałki.

Parę lat temu człowiek ten, w pełni sił, trzeźwy umysłem, kombinujący szybko i bystro, pracował dla społeczeństwa i dla bliźnich swoich.

Dziś — niedołężny, wzbudzał tylko współczucie w tych nawet, co kochali go niegdyś.

Helena, poprawiwszy poduszki pod głową ojca, usiadła przed prowizorycznem swojem biurkiem i zabrała się do pracy na nowo.

Myśli jej odbiegały daleko od słów, które rzucała na papier.

Przepisywała dla drukarni bardzo nieczytelny i pokreślony rękopis: rozprawę o miłości i różnych jej przejawach.

W pokoju zapanowała głucha cisza. Płomień lampy drgał niepewnym żółtawym blaskiem, jak gdyby zniecierpliwiony, że tak długo każą mu płonąć. Sparaliżowany starzec, nie dogryzłszy do reszty podanej mu skórki chleba, zasnął mocno. Leżąc na wznak z zamkniętemi oczami, podobny był raczej do szkieletu, aniżeli do istoty, w której kołatało się jeszcze to, co nazywamy życiem.

Cisza nocna sprzyjała pracy. Helena pisała szybko, coraz szybciej.

Małe różowe plamki, które wystąpiły na policzki jej, zaledwie usiadła do roboty, rosły stopniowo, wzmagały się, przechodząc w gorączkowe wypieki, którymi po paru godzinach pisania twarz jej zapłonęła.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dzienniki paryskie obawiają się, że komisya parlamentarna, wyznaczona przez Izbę dla zbadania oskarżeń, któremi obarczono jej członków, postara się zatrzeć tę obydną sprawę, ażeby nie postawić pod pręgierzem 100 podobno deputowanych, którzy maczali ręce w worku panamskim. Trudno wszakże to przypuścić wobec broni, jaka wpadła w ręce bulanżystów i radykałów, którzy nie pozwolą jej sobie wytrącić i walczyć będą — pomimo obostrzenia przepisów prasowych. Naprzód bowiem ograniczenie to nie ścieśnia swobody wykrywania łapówek, a powtóre po zaprowadzonych w niem poprawek jest bardziej pozornem, niż rzeczywistem. Ponieważ nie chciano jeszcze obalić gabinetu, więc przyjęto jego ustawę prasową, ale okrojono ją tak, że ona w sobie nie zawiera prawie nic nowego.

Śród strasznego rozgoryczenia, gniewu i wstydu francuzi nie wysysają słodyczy z raportów generała Doddsa tak, jakby to czynili niezgnębieni potwornym skandalem. Bez fanfar i uniesień radości ogłosili, że stolica króla dahomejskiego została zdobyta, że on sam uciekł, czy też dostał się do niewoli. Oporny tedy władca murzynów został ostatecznie pokonany, a kraj jego zajęty. Jest to duży krok w postępie zaborów i podziału Afryki.

Cesarz otworzył sejm niemiecki mową tronową, w której wyłożył program obrad parlamentu. A więc przedewszystkiem wejdzie na stół projekt wojskowy, usprawiedliwiony dość dziwnie. Ostatecznie bowiem zamyka on się w następującem rozumowaniu: ekonomiczne położenie państwa pogorszyło się — zatem trzeba podwyższyć podatki; stosunki z ościennemi mocarstwami są przyjacielskie — zatem trzeba podwyższyć armię na wypadek wojny dwufrontowej. Daleko szerzej rozwiódł się nad tą sprawą kanclerz Caprivi. W dwugodzinnej, z wielkiem natężeniem wysłuchanej mowie dowodził on, że Niemcy muszą pomnożyć swoje siły zbrojne, że jakkolwiek ich rząd ma wstręt do polityki zaczepnej i nie grozi nikomu, nie jest pewnym przyszłości, że Niemcy w r. 1870 nie wywołały wojny, lecz zostały do niej wciągnięte, że wówczas pokonanie Francyi było daleko łatwiejsze, gdyż granica wschodnia była zabezpieczona, że francuzi nawet nie postradawszy Alzacyi i Lotaryngii, myśleliby o odwecie, że śród tych warunków Niemcy muszą posiadać taką armię, którahy im pozwoliła odeprzeć napad z dwu stron. Zobaczymy, co na to odpowie sejm, którego stronnictwa teraz rozmyślają lub... targują się.

Nowy prezes gabinetu węgierskiego wystąpił przed Izbą z oświadczeniem, które klerowi zapowiedziało walkę i utratę przywilejów. Oznajmił on bez ogródek, że metryki zostaną oddane organom świeckim, a śluby cywilne będą przymusowe, nadto, że wyznanie żydowskie uzyska równe prawa z innemi. O żydów, nawet najsowiciej obdarzonych, duchowieństwu węgierskiemu nie chodzi, ale o metryki urodzin, nadewszystko zaś o śluby, które mu dotychczas zapewniały jeden z najdonioślejszych wpływów i jedno z najobfitszych źródeł dochodu. Naród, który tak natarczywie domaga się zaprowadzenia ślubów cywilnych, z pewnością będzie z nich korzystał w szerokiej mierze. To też kler węgierski gotuje się do zapasów z rządem i obrony swego monopolu, sam on wszakże nie spodziewa się zwycięztwa i staje do boju dlatego tylko, ażeby nie uledz bez walki.

Crispi upuścił sobie strumień żółci w wielkiej mowie politycznej, w której naturalnie dał złe stopnie ze sztuki rządzenia wszystkim swoim następcom. Pocieszny widok przedstawiają zawsze ministrowie naczelni, odsunięci od steru. Gdy przy nim stoją, mają jakieś przekonania i zasady, które w czyn wprowadzają; gdy dostaną dymisyę, ożywia ich tylko chęć udowodnienia, że wszyscy ich następcy są partaczami przy warsztatach mistrzów. Złość bezsilna i pretensyonalna nie ma nigdy ani uroku, ani grozy.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA PRACA O ROZWOJU RODZINY.

To, co nazywamy socyologią, w gruncie rzeczy przypomina niekiedy raczej zbior anegdotek, nagromadzonych zewsząd a dotyczących jednego lub kilku objawów życia społecznego, aniżeli czyni zadość istotnym wymaganiom metodologii naukowej. Dość wziąć do ręki pierwszą lepszą pracę, poświęconą rozbiorowi dziejów własności, rodziny itd., a łatwo przekonamy się o tem. W niektórych wypadkach postępowanie uczonych przypomina zapędy dawnych — powiedziałbym — lingwistów, gdyby zastosowanie tej nazwy w danym wypadku nie było obrazą dla przedstawicieli tegoczesnej lingwistyki. Spotkano pewien wyraz w jednym i drugim języku, który brzmiał jednozgodnie a nadto oznaczał dalekie, chociaż pokrewne pojęcie, i już z tego podobieństwa wysnuwano natychmiast wnioski szerokie, bez uprzedniego zbadania, czy owo pokrewieństwo nie jest rzeczą przypadku. Podobnie dzieje się dzisiaj w zakresie faktów socyologicznych. Spostrzega się np. te same urządzenia u dwóch ludów odmiennych. Rzeczą jest oczywistą, że zanim w wywodach swoich oprzemy się na tym materyale, uprzednio winniśmy zbadać podścielisko historyczne, z którego dana postać owych urządzeń wyrosła oraz jakie są w obu miejscach ogniwa, które je poprzedziły w rozwoju ewolucyjnym. Tymczasem puszcza się to wszystko w zupełną niepamięć. Postępowanie takie możemy unaocznić przykładem następującym. W dawnym Babilonie istniał szczególny zwyczaj, polegający na tem, że każda dziewczyna, zanim wyszła za mąż, musiała przez dłuższy lub krótszy przeciąg czasu sprzedawać ciało swoje w świątyni. Ten heteryzm „religijny“ istnieje w różnych okolicach Indyj przedgangesowych i wyrósł ze stosunków pierwotnych, takich, jakie Kubary odnalazł na w. Karolińskich, gdziekolwiek tylko bardzo wcześnie rozwinął się handel. Z drugiej ztrony w ogniskach cywilizacyi obecnej zapuściła głęboko korzenie prostytucya i przyznaną została urzędowo jako niezbędna instytucya społeczna. Przypuśćmy, iż jakiś przyszły historyk, pisząc historyę stosunków małżeńskich, zostanie uwiedziony przez pozory i postawi oba te zwyczaje jako równoznaczne sobie pod względem socyologicznym, jako objawy tej samej formacyi rozwojowej. Cobyśmy o tem rzekli? A jednak podobnie postępują dzisiejsi przedstawiciele socyologii. Odrywają oni fakty od właściwego im gruntu socyologicznego i z takich kawałków układają nową mozajkę. Niekiedy jest ona pociągająca, ale nie zawsze odpowiada rzeczywistości. Istnieje u australczyków i nairów szczególna forma stosunku małżeńskiego, polegająca na tem, że pewna grupa mężczyzn po-

---

Północ minęła już dawno. Cienie nocy, milczące, nieme, ponure wdzierały się do wnętrza facyatki tak gwałtownie, z takim uporem osiadając na najdrobniejszym sprzęcie, na dalszych i bliższych przedmiotach, iż zdawało się, że dzień jasny nie zaświta już nigdy i one, pełne żałoby, zawisną w powietrzu na zawsze.

Wiatr ciskał na szyby ostre igły szronu; miarowy ich szmer zdawał się echem pokutujących nocnych duchów, którym dokuczała zawieja.

Helena pisała przestrogę dla młodej dziewczyny:

„Jeżeli — mówił autor — piękny widok, przeczytana książka, noc księżycowa budzą w twojem sercu niezrozumiałe szepty, rwanie się do czegoś, co określić ci jest trudno; jeżeli nie skończyłaś jeszcze lat dwudziestu, nie doznajesz pożądań sławy na jakiembądź polu — to szepty owe nazwij potrzebą miłości.

„Masz narzeczonego, a serce twoje, pomimo to, szarpie niepokój, żądza wrażeń, któreby wstrząsnęły jądrem twej duszy.

„Powiedz temu, co ma zostać mężem twoim, że go nie kochasz. Nie on, ktoś inny z czasem uczucia twe rozbudzi płomieniem.

„Strzeż się, uważaj!“

szary brzask wyjrzał z za horyzontu.

Ręka Heleny, w której trzymała pióro, zaczęła drżeć silnie. Ona sama uczuła nagłe zmęczenie. Próbowała pisać w dalszym ciągu—nie mogła. Palce jej trzęsły się, jak w febrze, lub drętwiały, znieczulone.

Odsunęła na bok arkusz, który miała przed sobą. Spojrzawszy w tej chwili na szereg drobnych, gęstych liter, jakiemi był zapełniony, po raz pierwszy uchwyciła je wzrokiem świadomie.

Tak, więc całą długą noc zimową pisała o miłości.

Oparła obie ręce o stół, zwisiła głowę na rozwarte dłonie i mimowoli spytała sama siebie:

— Czy miłość ta, o której wszyscy mówią i piszą, którą wysławiają poeci, starają się wyjaśnić uczeni, do której modlą się tłumy, czy miłość ta nie jest jedynie rozegzaltowaniem pojęć?

W skroniach jej huczał jeszcze szelest pióra, którem suwała po papierze przez sześć godzin z rzędu; w oczach migały czerwone koła i prążki: była strasznie zmęczona.

Siedząc przy stole, z głową, wspartą na rękach, mówiła sobie:

— Chwilę tylko wypocznę; zaraz zacznę pisać na nowo.

Tymczasem myśli jej, raz pochwyciwszy nawiązany wątek, rozsnuwały go dalej. Określniki miłości, które przed chwilą pisała nieświadomie, teraz tłoczyły się do pamięci jej, jak gdyby tworzyła je sama.

Brzask, wdzierający się przez szyby okien, obudził ją z zadumy.

Patrząc na perłowe świtanie, pełna żalu, myślała:

— Dlaczego dzień wraca tak prędko?

Z gorączkową niecierpliwością chwyciła za pióro; musiała pisać koniecznie, nie mogła odpoczywać, tyle jeszcze roboty miała przed sobą!

Po kilku nakreślonych literach pióro wypadło z jej ręki, głowa zwisła na piersi, przed wzrokiem zamajaczyło kilka niewyraźnych obrazów.

— Czy ja kiedy kochałam? — zapytała sama siebie machinalnie.

Odpowiedź brzmiała: „nie.“ Nie kochała nigdy. Wyszła za mąż z namowy przyjaciół i rodziców, bez odrobiny przywiązania dla tego, z kim wróżono jej dobrą przyszłość, jako z człowiekiem „statecznym.“

Była wtedy młoda, bardzo młoda, i nie mogła mieć swego zdania.

Wiele lat minęło, odkąd mąż jej umarł, a do tej pory jeszcze na wzmiankę o tym, z którym spędziła lat kilka pod jednym dachem, który był ojcem trojga jej dzieci, marszczyła brwi, chmurzyła czoło i potrząsała głową, jakby dla odpędzenia złej mary.

Brutalny, szorstki, wiecznie za domem szukający rozrywek, Emil, mąż jej, nie umiał zdobyć sobie nawet jej szacunku.

siada prawo małżeńskie do pewnej grupy kobiet. Jest to związek jednocześnie wielomęzki i wielożeński. Istnieje z drugiej strony pozornie taka sama instytucya małżeńska u todów i wielu ludów tybetańskich, również przedstawiająca podobny stosunek zbiorowy. Wszyscy niemal socyologowie łączą obie te instytucye, lubo bliższe zbadanie rzeczy wykazuje między niemi różnicę. Związek nairski i australski opiera się na prawie macierzystem, mężowie w zasadzie są tylko gośćmi u żon, które żyją rozproszone, forma zaś nairska stanowi tylko dalsze stadium rozwoju, co odpowiada trybowi życia nairów: są oni rolnikami, wówczas kiedy australczycy — dzikimi myśliwcami. Tymczasem u todów żony mieszkają w domu mężów, którzy są braćmi rodzonymi, dzieci zaś z tego stadła zbiorowego uchodzą za potomstwo najstarszego, prawo ojcowskie rządzi spadkobraniem nazwiska. Wszystko świadczy, że małżeństwo to rozwinęło się już z monogamii lub poligamii pod wpływem warunków czysto miejscowych. Słowem, mimo podobieństwa pozornego są to zgoła odrębne formacye, niemające nic sobą wspólnego. Otóż takich zbliżeń nieuzasadnionych nalicyć moglibyśmy mnóstwo w socyologii a jej dzieła, o ile opierają się na materyale podobnym i układają w sztuczną mozajkę takie *membra disjecta*, istotnie nie wykraczają po za zbiór anegdotek. Dodajmy do tego, że same źródła czerpanych faktów niekiedy są nader podejrzanej wartości. Od pewnego czasu notujemy przy sposobności wszelkie wzmianki w pracach socyologicznych, dotyczące bliższych nam stosunków. Gdybyśmy je wszystkie zestawili, otrzymalibyśmy istotnie coś zadziwiającego. Sicz Zaporozka okazuje się plemieniem dzikiem, które przetrwało w swoim stanie pierwotnym, pośród cywilizacyi, żyło w poliandryi i na łonie prawa macierzystego, prawdopodobnie rozpadało się na *genty* itd.! A któż nam zaręczy, że co zrobiono z zaporożcami, nie uczyniono z innymi ludami? Zważywszy to, na polu dziejów rodziny znamy tylko dwie prace, odpowiadające wymaganiom metodologii naukowej — Morgana, który w systemach pokrewieństwa usiłuje znaleźć klucz do nakreślenia dziejów rodziny i wychodzi z faktów sumiennie zbadanych społeczeństwa indyjskiego, oraz krótką rozprawkę Tylora, poszukującą wzajemnej współrzędności pomiędzy różnymi objawami życia rodzinnego. Reszta — to zbiór bezładny faktów. Mimo że książka Morgana wyszła przed laty i wprowadziła do nauki pojęcie szczebli rozwoju kulturalnego — nie chodzi o to, czy szczeble same są trafnie dobrane, ale o zasadniczą istotę tego ułożenia — w pracach socyologicznych nie spotykamy się dotychczas z uznaniem konieczności takiego wyróżnienia. Różne stadya dzikości i barbarzyństwa występują zmieszane w tym samym bezładzie „ludów pierwotnych.“ Jedynie Letourneau uwydatnił te rozmaite stopnie, atoli skończył jedynie na pozorach nomenklatury. W rubryce dzikości pomieszał ludy, które zgoła nie są dzikie, albo takie, które z wyższego szczebla rozwoju spadły na niższy dzięki nieprzyjaznym warunkom bytu.

Tych kilka uwag nasunęła nam praca prof. Ed. Westermarcka, poświęcona dziejom stosunku małżeńskiego *). Autor w przedmowie wypowiada podobne utyskiwania. Narzeka on, że ten lub ów przeżytek bywa tłomaczony mylnie, a nawet niekiedy zgoła nie posiada znaczenia szczątkowego; że przypisywanie czegoś całej ludzkości, co znajdujemy u jednego lub drugiego ludu dzikiego, zgoła nie posiada należytej podstawy itd. Wreszcie zadaje sobie pytanie: jakim sposobem możemy z faktów etnograficznych kreślić obrazy stosunków właściwych ludzkości pierwotnej? Westermarck sądzi, że to tylko wtedy jest możliwe, kiedy oznaczymy sprężyny czynów człowieka. Nie zaspokaja go proste gromadzenie faktów na zasadzie podobieństwa i uogólnianie ich, lecz wymaga, żeby zaczęto od rozpoznania przyczyn sprawczych. Żąda on dalej oględnego użytkowania z materyału praktycznego i czyni bardzo słuszną uwagę (w naszym wieku posługiwania się pracami sekretarzy często zaniedbywaną), mianowicie, że kto nie zada sobie mozołu sięgnięcia osobiście do obszernego piśmiennictwa etnograficznego i rozejrzenia się w zasobie podawanych wiadomości, ten nigdy nie nabierze pojęcia o początkowej postaci instytucyj ludzkich. Należy przyznać, że materyał, nagromadzony przez tego autora, jest nader obfity, a w wielu razach Westermarck zwracał się osobiście do różnych misyonarzy o informacye. Przed oczami naszemi przesuwa się obraz różnych form stosunku małżeńskiego, rozwoju rozmaitych sposobów wabienia się wzajemnego pomiędzy przedstawicielami obu płci, objawów doboru płciowego, dziejów zakazu łączenia się pomiędzy sobą blizkich krewniaków, obrzędów i zwyczajów ślubnych itd. W gruncie rzeczy książka Westermarcka jest wymierzona przeciwko obozowi socyologicznemu, którego przedstawicielami są Bachofen, Morgan, Mc Lennan. Badacz finlandzki usiłuje zbić dowodzenie, że istniały kiedyś zbiorowe stosunki małżeńskie, zaprzecza powszechności prawa macierzystego, wreszcie zaprzecza, aby kiedykolwiek istniała niepewność ojcostwa. Rozumie się, systemy pokrewieństwa i powinowactwa, na których podstawie Morgan wysnuwa swój obraz ewolucyi rodzinno-małżeńskiej, z konieczności ulegają nader silnym zarzutom, osłabiającym ich znaczenie. Zbiorowe stosunki małżeńskie, zwłaszcza poliandryczne, są według niego jedynie zjawiskami czysto miejscowemi, przedewszystkiem wypływającemi z warunków danej okolicy. W Afryce np. u niektórych szczepów liczba mężczyzn jest niekiedy dwa lub trzy razy mniejsza, aniżeli kobiet; w dolinach znowu himalajskich, skutkiem oddziaływania jakoby klimatu górskiego na zdolności rozpłodcze, dziewczęta przychodzą na świat i dobiegają dojrzałości mniej licznie. Właśnie dzięki tym okolicznościom w Afryce tak rozpanoszyło się wielożeństwo, w Tybecie i sąsiedztwie — wielomęztwo. Atoli ludzkość zwraca się w tym kierunku jedynie przypadkowo. Podstawową formą małżeństwa wśród obecnych ludów pierwotnych, jakoteż wśród ludzkości pierwotnej był stały związek pomiędzy jednym mężczyzną a jedną lub kilku kobietami. Wszystkie opowieści o bezładnem obcowaniu u obecnych przedstawicieli dzikości, o jego przeżytkach pod postacią heteryzmu religijnego, o oddawaniu żony lub córki gościowi itd., uważa Westermarck albo za fałsze lub też wyprowadza je z przyczyn innych. Ale i on przyznaje, że pierwotne obcowanie małżeńskie nie znało ograniczeń pomiędzy krewniakami, późniejsze zaś zakazy wyprowadza z żywiołowo i bezwiednie działającego wstrętu względem osób, wzrastających razem od dzieciństwa. W ten sposób ograniczenia te pierwotnie dotyczyłyby przedewszystkiem żyjących w tej samej gromadzie — pokrewnych sobie, jako też krwią obcych.

W ogólnych tedy swych założeniach praca Westermarcka jest atakiem na cały kie-

*) Edward Westermarck. *The History of Human Marriage*, str. 644.

Gdy umarł, doznała wrażenia ptaka, któremu rozwiązano spętane skrzydła: mogła wreszcie być sobą, odzyskała wolność, zdjęto z niej klątwę krzywoprzysięztwa.

Z namiętną gorliwością rzuciła się wówczas do pracy. Został jej drogi skarb, dzieci, którym przysięgła miłość i opiekę swoją.

— Nie opuszczę ich nigdy i nigdy nie oddam nikomu — myślała, patrząc na błękitnooką Toskę, na Władka i Józika, których ściągłe twarze ani jednym rysem nie przypominały jej wstrętnego oblicza męża.

Była zdrowa i silna. Odebrała wychowanie staranne; mogła stać się dobrą nauczycielką: miała zdolności i wytrwałość pedagoga.

Po dosyć długich staraniach zdobyła kilka godzin lekcyj.

Wstawała wówczas o siódmej, aby przyrządzić śniadanie i wyprawić Józka i Władka do szkoły. O dziesiątej wychodziła z domu na lekcye; wracała o drugiej; gotowała obiad i, nakarmiwszy swoją gromadkę, wybiegała znowu. Wracała późnym wieczorem dopiero, zmęczona, ledwie żywa.

Tośka, czekając na nią z utęsknieniem, rzucała się na szyję jej, całowała ją, pieściła, gładziła aksamitnemi rączkami po twarzy.

— Żebyś ty ciągle mogła być z nami! Żebyś ty nie odchodziła od nas! — wykrzykiwała, patrząc błękitnemi oczami w oczy matki.

Helena płakała wtedy, Józik i Władek, kłócący się w kącie o stalkę lub obsadkę, którą jeden wydzierał drugiemu, milkli: zdaleka patrząc na matkę, byli także blizcy płaczu.

Od pieszczot Tośki trzeba było wyrywać się przemocą.

Przyrządziwszy herbatę, Helena układała dzieci do snu i sama wkrótce potem zasypiała również, aby nabrać sił do pracy dnia następnego.

Tak trwało lat parę. Dochody z lekcyj wystarczały w zupełności na pokrycie skromnych potrzeb rodziny.

Niestety, względny ten dobrobyt przerwał się zbyt szybko.

W ciągu ostatnich dwóch lat troski jedne po drugich zaczęły spadać na głowę Heleny. Dzieci kolejno przechodziły długie i ciężkie choroby. Na domiar złego ojciec, dotąd zdrów i silny, zaniemógł nagle: atak paralityczny odebrał mu władze; pielęgnowanie kaleki Helenie, jako jedynej córce, przypadło w udziale.

Zamiast wypoczynku w godzinach wolnych od pracy, jak siostra miłosierdzia musiała krążyć od łóżka do łóżka, aby dzieciom i ojcu nieść pomoc.

Siły jej słabły powoli. Chwilami sądziła, że nie wytrwa: życie dławiło ją strasznym swym ciężarem...

Od miesiąca blizko nie sypiała więcej nad dwie do trzech godzin dziennie.

Choroba ojca i dzieci skłoniła ją do zaciągnięcia długów, które trzeba było spłacać. Musiała pracować więcej, aniżeli przedtem. Dniem biegała za lekcyami, nocą przepisywała.

Budząc się rano po parogodzinnym niespokojnym śnie, czuła nieraz taki ciężar w głowie i ból w piersiach, że zdawało się jej, iż nie wstanie. Z wysiłkiem schodziła z łóżka. Przy pracy zapominała o cierpieniu; chwilowo nawet nerwowa podnieta pozwalała jej szybciej i dokładniej wykonywać robotę, aniżeli w normalnych warunkach; potem jednak następowało zupełne wyczerpanie.

Dziś, po gorączkowej pracy czuła się gorzej, aniżeli kiedykolwiek.

— To nic — myślała — parę godzin snu wrócą mi energię.

Według obrachowań swoich, jeszcze tylko kilka nocy potrzebowała pracować nadetatowo, aby spłacić resztę zaciągniętego długu. Potem — liczyła na powrót do normalnych warunków bytu i na względny spokój.

(D. c. n.).

Cecylia Walewska.

runek, uznający prawo macierzyste i zbiorowe związki małżeńskie za właściwości okresu pierwotnego. Cokolwiek rzec można o wywodach badacza finlandzkiego, przyznać trzeba, że z pośród robót socyologii gabinetowej książka jego jest jedną z poważniejszych, poważniejsza, niż prace Posta, Spencera lub Letourneau. Zaznaczmy też, iż w krótkim przeciągu czasu jest to już drugi pocisk tego samego rodzaju na teoryę prawa macierzystego. Pierwszy, dzieło skandynawczyka Starcke'a, świadczy również dobrze o swoim autorze. Oba umiały w sposób zręczny wyzyskać słabe strony przeciwników.

Możnaby np. wskazać autorów, którzy powtarzając, co inni powiedzieli z zastrzeżeniem, uznawali to już za rzeczywistość, a ktoś, jeszcze znowu na takiej podstawie „faktycznej" snuł już dalsze wnioski. Książka Westermarcka, podobnie jak dawniejsza Starcke'a, zmusi do wykreślenia wielu faktów, sprawdzenia przesłanek, zaniechania pewnych przypuszczeń. Atoli czy te prace krytyczne obalają założenia zasadnicze obozu przeciwnego? O Starcke'u już mówiliśmy w łamach *Prawdy*, teraz zatrzymamy się jedynie nad towarzyszem jego. Otóż Westermarck mimo wielu stron dodatnich nie wyłamuje się z pod zasady ogólnej. Krytyczność jego dotyczy tylko tych kawałków, z których przeciwnik ułożył swoją mozajkę; atoli opuszcza go, kiedy sam bierze się do tej samej roboty. Nadaremnie szukalibyśmy wyróżniania szczebłów kulturalnych. Jeżeli bowiem zachodzi potrzeba, obok dzikiego australczyka zjawia się barbarzyniec skądinąd. Kiedy faktu zabraknie, zastąpi go pogląd Waitza lub Tylora. Fakty zawsze niemal występują w oderwaniu od swego gruntu. Wypadło np. Westermarckowi dowieść, że prawo ojcowskie jest równie pierwotne, jak macierzyste. Wyciąga on natychmiast plemię australskie narrinierów i ma w niem świadectwo, że nawet na tak niewielkiej przestrzeni, jak ląd australski, wśród szczepu dzikiego, obok siebie istnieją współrzędnie prawo ojcowskie — w owem plemieniu — i macierzyste u sąsiadów. W rzeczy samej fakty takie byłyby bardzo ważne. Atoli jeżeli zajrzymy do australskich, a nawet angielskich wydawnictw instytucyj naukowych, znajdziemy prace Howitta, pisane na podstawie kilkunastoletnich badań bezpośrednich i dowiemy się o wielkim przewrocie u niektórych australczyków, który przekształcił prawo macierzyste na ojcowskie. Doniosłość faktów, przytoczonych przez Westermarcka, pierzcha, a pozostaje albo bezwiedne fałszerstwo, albo też nieznajomość pewnych źródeł. Autor milczy o kilku najważniejszych pracach źródłowych, które powstały nie w gabinetach naukowych, ale gdzieś w otoczeniu dalekiej dzikości lub barbarzyństwa. Ani słowem nie uwzględnił pierwszorzędnej wartości poszukiwań Kubarego co do heteryzmu komunalnego dziewcząt karolińskich. W całej pracy nie spotykamy także wzmianki o małżeństwie piraurskiem w całej środkowej Australii, któremu Howitt poświęcił dwie prace specyalne. Z naszej znajomości faktów etnograficznych musimy uważać próbę Westermarcka za chybioną, o ile chodzi o uznanie związku monogamicznego za główną, względnie jedyną postać małżeństwa pierwotnego. Wogóle autor ten dał się zanadto unieść pewnym faktom. Wobec takich pocisków, jak Starcke'a i Westermarcka, wobec nadto nieporuszenia dotychczas przez obóz przeciwny wyglądu „hordy pierwotnej," w jednym z przyszłych numerów wrócimy do tej kwestyi, usiłując skreślić obraz przeszłości, jak on przedstawia się oczom naszym w świetle dotychczasowych badań i dotychczasowej krytyki. Tutaj tylko zaznaczymy jeszcze, że książka Westermarcka jest jakby uzupełnieniem wywodów Darwina o doborze płciowym. Właśnie to nadmierne uwzględnianie stosunków i instynktów zwierzęcych, a natomiast pomijanie czysto ludzkich, gromadzko-społecznych, postawiło autora na stanowisku wrogiem prawu macierzystemu. W doborze płciowym, w zazdrości i innych wyszukanych u zwierząt popędach znajduje on nici stosunku małżeńskiego, atoli nie zadaje sobie już dalszego pytania, jak owe instynkty przeradzają się w dziejach ludzkich. Dla niego są one zawsze niezmienne.

L. K.

KILKA SŁÓW

w obronie tak zwanej geo-grafii.

III.

Powie kto może, iż tak pojęta geografia, jako wymagająca *badań*, nie odpowiada nazwie geo-*grafii*, która oznacza *opisanie* ziemi. Na to odpowiedź, że w kwestyi pojęcia jakiejś nauki nie może rozstrzygać etymologia, lecz rozwój historyczny, albowiem zwykle tak bywa, iż żywe pojęcie, rozwijając się, ulega z biegiem czasu zmianie, podczas gdy martwa nazwa pozostaje, oparta na sile przyzwyczajenia. Toż samo stało się z nauką geografii: z opisu ziemi stała się ona badaniem ziemi, z geo-grafii — geo-logią. Tym sposobem nastąpiło tu zlanie się dwóch nauk o ziemi, a właściwie dwóch metod poznawania ziemi, co historycznie da się łatwo wyśledzić i zrozumieć: to, co nazywano oddawna geologią, wyszło od pojęć ogólnych, apriorystycznych, od hipotez (o powstawaniu ziemi, stanie jej wnętrza, kataklizmach itp.); to, co nazywano geografią, wyszło od szczegółów, od opisu faktów na powierzchni ziemi napotykanych. Lecz z biegiem czasu geologowie w celu zyskania trwalszego gruntu dla swych hipotez zstąpili do obserwacyi pojedynczych obecnych zjawisk (Hoff, Lyell.), geografowie zaś, ulegając dążności umysłu ludzkiego, zaczęli się od opisu wznosić do badań, do uogólnień (Ritter, Humböldt, Peschel, Richthofen) i tym sposobem nastąpiło zlanie się geografii z geologią. Pogląd ten na stosunek geografii do geologii, o ile nam wiadomo, przez nikogo przedtem nie był wypowiedziany, a wszelkie usiłowania, skierowane dziś do wykreślenia granicy między temi naukami, nie wyłączając próby tak znakomitego umysłu, jak Richthofen, prowadzą tylko do naciągań, a nawet absurdów *).

Powie kto dalej, że rozszerzając tak pojęcie geologii, włączając do niej klimatologię oraz naukę o florze, faunie i człowieku (z wyżej określonego „geograficznego" punktu widzenia), otrzymamy naukę zbyt obszerną, której umysł człowieka nie obejmie, szczególnie wobec ciągłego pogłębiania się wiedzy, ciągłej specyalizacyi. Jest to zarzut tylko pozornie słuszny, albowiem, jakkolwiek w miarę rozwoju wiedzy rośnie potrzeba podziału pracy, jakkolwiek wskutek tego z tak obszernie pojętej geologii wydzieliły się lub wydzielą takie nauki specyalne, jak litologia, paleontologia, meteorologia, antropologia, a nawet tak wysoce specyalna gałąź, jak geologia glacyalna (Gletscherkunde Heima), to geologia (geografia) pozostanie zawsze jako najwyższe tych wszystkich nauk uogólnienie, niby pogląd ze szczytu góry na *cały* przebieg jakiejś walki, niezrozumiałej i niepodobnej do objęcia dla żołnierzy, a nawet wodzów pojedynczych oddziałów. To najwyższe uogólnienie geologiczne („geograficzne") znajduje swe uzasadnienie, swą racyę bytu nie tylko wewnętrznie, we właściwości umysłu ludzkiego: ale i zewnętrznie, w tem mianowicie, że zjawiska ziemskie w rzeczywistości zachodzą nie w oderwaniu, w odosobnieniu jak to uważają nauki poszczególne, lecz w towarzystwie i związku z całą sumą innych zjawisk jak to uważa geologia („geografia"). Geologia („geografia") więc będąc najwyższem uogólnieniem jest zarazem *najbardziej naturalnem przedstawieniem zjawisk*; jak dane zjawisko ziemskie jest rezultatem mnóstwa czynników tak samo geologia („geografia") jest syntezą mnóstwa poszczególnych nauk badających po szczególe te czynniki.

Indywidualnym siłom umysłowym każdego geologa („geografa") pozostawionem być musi naturalnie to jak głęboko potrafi on zapuścić korzenie w warstwy poszczególnych nauk, aby z nich wyciągnąć soki dla drzewa geologicznego („geograficznego"), o ile będzie umiał odnieść się krytycznie do poczerpniętych szczegółów i cząstkowych uogólnień, o ile potrafi je skombinować i zużytkować samodzielnie do swych własnych celów.

Z czasem zapewne i sama nazwa geografii, jako *nauki* o ziemi zniknie, ustępując obszernie pojętej nazwie geologii; nazwa zaś geografii pozostanie nadal tylko dla oznaczenia nie nauki, lecz *archiwum*, zbioru surowych materyałów o ziemi i zajmować będzie takie samo stanowisko wobec geologii (w naszym wyżej określonym sensie), jak etnografia wobec etnologii. I jak nie moglibyśmy wymagać, aby w szkołach uczono na pamięć, w jakie np. wzory baby pewnej wsi farbują swe chustki, jakiej formy wyrabiają kijanki lub jakiego koloru noszą podwiązki, tak też podobnie i w tak zwanej dziś geografii a właściwie geologii nie będziemy uczyć, w jakich miastach galicyjskich mieszkają rabini, ile pudów ryby poławia się w jeziorze Białem lub ile sierpów i kos wyrabia pewna wieś obszaru centralnego, jakkolwiek rzeczy te mogłyby być komuś w praktyce potrzebne *).

Powyższa walka między rozumowością i faktycznością w „geografii" (geologii) mogłaby się komuś wydawać burzą w szklance wody, sprawą drobną, a nawet indywidualną i pretensyonalną; sąd taki jednak byłby znowu ciasny. Pomijając nawet bowiem ten wzgląd, że sprawa nauczania prowadzi za sobą wogóle zawsze i wszędzie ważne skutki w życiu społecznem, walka ta jest tem ważniejszą jeszcze z tego względu, że stanowi jeden z epizodów walki rozległej, toczącej się na różnych polach, związanej jednak ze sobą jedną nicią przewodnią: jest to np. walka tych pedagogów, co chcieliby z ludzi uczynić istoty myślące i czujące z tymi formalistami, którzyby chcieli uczynić z nich jedynie maszynki do spełniania pewnych posług społecznych; jest to walka tych literatów, którzyby chcieli przewodniczyć społeczeństwu w dążeniu na coraz wyższe umysłowe poziomy z tymi pismakami, którzyby chcieli poziom umysłowy i etyczny czytelników obniżyć, bo tylko śród nędznego otoczenia tacy ludzie nędzni umysłowo i moralnie mogą znaleźć racyę dla swej egzystencyi; jest to walka tych uczonych, co całe swe życie poświęcili idealnemu celowi, dążeniu do prawdy z tymi doktorami blagi, karyerowiczami, obdarzonymi sprytem życiowym dla których nauka jest tylko środkiem zdo-

*) Richthofen w „Aufgaben und Methoden der heutigen Geographie" str. 21 dochodzi w tym względzie do wniosku wprost śmiesznego: „Gdyby dzisiaj powstał wulkan, to przyczyna jego powstania i jego związek z innymi wulkanami byłyby przedmiotem badań geologa; dalszemi zaś modyfikacyami wulkanu zająłby się geograf." Nie wiadomo doprawdy, jakby usprawiedliwić taki podział pracy, albowiem np. analogia z podziałem pracy między akuszerką i niańką nie da się tu przeprowadzić: kto zbadał powstanie wulkanu i zna jego naturę, ten już sam daleko lepiej zbadać potrafi dalsze jego modyfikacye.

*) Pozostawienie więc przez nas pojęcia geografii jako archiwum, *jako zbioru materyałów*, bynajmniej nie uprawnia wyżej przytoczonych zarzutów lub wymagań skierowanych przeciw pojęciu geografii *jako nauki*.

bycia rozgłosu, a z nim wygodnego filisterskiego bytu; jest to walka tych artystów, obdarzonych iskrą geniuszu lub talentu, z tymi geszefciarzami, którzy opanowują ster konkursów, sądów i nagród, pole, gdzie rosną obficie chwasty nepotyzmu i prywaty itd. Wogóle jest to walka między prądem cywilizacyjnym, obejmującym szerokie horyzonty, a bezduszną drobiazgowością, parafiańszczyzną, tandetą, a często i podłością, które w ostatnich czasach szczególnie u nas wezbrały niepomiernie i których fale, nie, których pomyje, usiłują zdławić ostatnie placówki myśli i uczucia. Jest to walka między człowiekiem kultury, produktem wiekowej ewolucyi i troglodytami, których prawa atawizmu rzucają od czasu do czasu w zwiększonej liczbie śród naprzód kroczącej ludzkości.

Ze stanowiska ewolucyjnego nie można wątpić, przy kim zostanie zwycięztwo ogólne na arenie wszechludzkiej, lecz można wątpić, przy kim zostanie zwycięztwo cząstkowe i chwilowe na pewnej poszczególnej etnicznej arenie; a wątpliwość ta tem bardziej powinna pobudzać nas do walki z troglodytyzmem, iż właśnie dlatego, że w organizmie wszechludzkim musi zwyciężyć *człowiek*, więc zwycięztwo troglodytów śród pewnej cząstki tego organizmu musi być dla niej wyrokiem zagłady.

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

François Coppée, *Les vrais riches* (Prawdziwie bogaci). Paryż, 1892.

Na pisma Coppégo, jak na listki drzew latem, promienie słoneczne padają całymi pękami. Żaden utwór jego nie pogrąża się w cienie, w żadnej jego powieści lub poezyi nie syczą węże przewrotności, zawiści, wylęgłe w ciemnych podskalnych jaskiniach społeczeństwa. Na żadnej stronicy dzieł jego lubianych we Francyi i zyskujących uznanie po za jej granicami nie wyją nocne szakale, rozsypane stadami po obszarach życia ludzkiego. Postacie jego zbliżone bardzo do Dickensowskich, nie są świetlne i przejrzyste, jak sylfy romantyzmu, ale wszystkie mają w sobie coś miłego, coś szczerze za serce biorącego. Czujesz po zapoznaniu się z nim prawdziwo sympatye do tych „maluczkich,“ upośledzonych.

Horyzont jego nie obejmuje przestrzeni szerokich, bezgranicznych. Twórca „Bezrobocia kowali“ nie rzuca się w wir życia światowego, nie pochwytuje typów tytanicznych, potężnych. Jeśli kiedy i one wyrastają na bohaterów, należy to zawdzięczyć okolicznościom, w jakich się znaleźli. Jego przyjaciele i bracia — to żyjątka drobne, nieznane, jednostki przygniecione ciężarem życia, poświęcone obowiązkom rodzinnym, z trudem, lecz z rezygnacyą dźwigające uwiązaną u nóg ich kulę. Nie złorzeczą one swoim losom, nie zaciskają pięści, spokojnie, niemal hardo kroczą po wyboistej swej drodze. Chociaż wszystkie pochodzą z Paryża, z warstwy jednym rąbkiem najuboższego proletaryatu dotykającej, mają w sobie coś z natury zapracowanego chłopa, który dogorywa już na swoim barłogu, a jednak nie leje łez po życiu i nie żali się na swą dolę.

Zapewne, zależnie od temperamentu można zamiłowanie w takich osobnikach ganić lub chwalić. Typy niezadowolone i niemal Byronowskie są może więcej na czasie, ale zdaje mi się, że i to życie ciche a smutne zasługuje na uwagę. Może nawet więcej, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało. Wolę Coppégo biednego pisarza kantorowego, albo szwaczkę od rana do nocy zapracowującą się na utrzymanie matki, niż Zolowską kurtyzanę, sprzedającą się bogatym panom, lub robotnika klnącego i rozpijającego się w szynku paryskim. Niestety, jedne i drugie typy są prawdziwe, ale pierwsze przekonywają mnie, że te masy, te szerokie tłumy, w których zazwyczaj widzi się tylko zwierzęcość i zastój umysłowy, są masami ludzkiemi z sercem wrażliwem i cierpiącem i z polotem myśli szlachetniejszym.

W dwóch dużych nowelach Coppégo, objętych wspólnym tytułem „Prawdziwie bogaci,“ zwykli bohaterzy częściowo przynajmniej cofają się na dalszy plan. Występują tu ludzie materyalnie bogaci, którzy jednak dopiero po stratach dość dotkliwych stają się bogaczami prawdziwymi. Myśl przewodnia pod względem przeprowadzenia daleka od moralizatorstwa, spoczywa w tytule drugiej z rzędu noweli: „Lekarstwo przez biedę“ (Cure de misère) i w końcowem zdaniu pierwszej noweli „Zwrot pieniędzy“ (On rend l'argent). „Tego wieczoru — czytamy tu — kiedy przez jego ręce przeszło tyle pieniędzy, przekonał się, że sławy zdrowia, miłości, honoru—wszystkiego tego, dlaczego nareszcie żyć warto — nie kupi się za pieniądze.“ Nie w pieniądzach szczęście człowieka.

Treść pierwszej noweli bardzo prosta. W mroźny, tak mglisty wieczór Bożego Narodzenia, że mgłę możnaby „nożem krajać,“ siedzi na trzeciem piętrze skromnego domu rue de Clichy ksiądz Moulin, proboszcz kościoła św. Trojcy. Na stole błyska świeca, w kominku tli się ogień, a proboszcz zamyślił się, bo dziś w wigilię Bożego Narodzenia on niczego nie ma, coby mógł zanieść pięciu sierotom po handlarzu starego żelaziwa na ulicy Croulebarbe, biednej trzynastoletniej dziewczynce Celestynie, która prawie umiera z anemii, robotnicy Aleksandrze z ulicy do Fer à Moulin i robotnikowi Józefowi z ulicy Arbalète, młodej parze ludzi, którzy chcieliby się pobrać, a nie mają potrzebnych kilkuset franków na rozpoczęcie gospodarstwa.

Wtem na korytarzu rozlegają się kroki, a po chwili dzwonek, silną ręką targnięty, wypełnia całą izbę swym dźwiękiem. Ksiądz Moulin wstaje z krzesła, bierze do rąk świecę i podchodzi ku drzwiom. Otworzywszy, widzi przed sobą barczystego, z amerykańska ubranego mężczyznę, który prosi o chwilkę rozmowy.

Jest to dawny bankier z ulicy Faubourg Saint-Honoré, nazwiskiem Renaudel. Zbankrutowawszy, uciekł do Ameryki; tam dorobił się majątku i chociaż przyjazd do Francyi, gdzie za bankructwo skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót, grozi mu galerami, powrócił na kilka godzin, aby oddać swe długi. Jako do spowiednika zmarłej swej żony, zwrócił się do księdza Moulin.

Nie mogąc osobiście iść do wierzycieli, zaspokoiwszy zresztą z Ameryki wszystkich pomniejszych, chciał, żeby Moulin wyręczył go i czterem pozostałym jeszcze a krociowym zwrócił pieniądze. Ksiądz, podbity złożonym przez dawnego bankiera tysiącem franków na biednych, upewniwszy się, że tenże w sposób uczciwy doszedł do kapitałów, wsiada do dorożki i udaje się do pierwszego wierzyciela na Montmartre.

Po drodze robi ciekawe doświadczenie. Przekonywa się, że znaczna część ludzi, którym spłaca pieniądze, na swoich stratach dawnych raczej skorzystała. Straciła tylko część zła. Ludwik Dubló, literat i powieściopisarz, ujrzawszy się bez grosza, wziął się do pracy i wywalczył pewne rezultaty; panna Latournure, za dobrych czasów myśląca tylko o sobie i o urojonych swoich chorobach, wyzbyła się cierpień, otworzyła pensyonat dziewcząt i jakkolwiek walcząc z biedą, znalazła spokój w poświęceniu się młodemu wyrastającemu pokoleniu. Architekt Henryk Burtal przebył ciężką szkołę życia, ale znalazł dzielną towarzyszkę i wespół z nią rozbił żelazne zatory. Jeden tylko margrabia Capdecamp nie chciał poddać się losowi, nie pochylił czoła przed pracą i sprzedał się żydówce Mardockównie, która ze swej strony mniej patrzyła na niego, niż na jego herby i klejnoty: „wieże podobne do wież szachowych, krzyże czerwone zupełnie takie, jakie widzimy na markach piołunówki szwajcarskiej, muszle niczem nieróżne od wystawianych przed drzwiami szynków ostryg, lwa wyglądającego raczej na pudla cyrkowego, z komicznie wyciągniętym językiem.“

Odbywszy swoją przejażdżkę i od trzech pierwszych wierzycieli otrzymawszy znowu po kilkaset franków dla biednych, wraca Moulin do domu. Renaudel wypala jeszcze dwa cygara, ściska mu dłoń ze szczerem podziękowaniem i odjeżdża.

W „Lekarstwie przez biedę“ ukończony student uniwersytetu, dla braku utrzymania piszący w biurze kupca koszul i krawatów, Cahuna, wygrywa los na pięćset tysięcy franków. Oszołomiony przytyka do ust z początku czarę życia bogatego i wesołego. Lecz kluby, przejażdżki konne i śpiewaczki paryskie tracą dla niego prędko urok i pewnego pięknego poranka Alberyk postanawia otrząść się z kurzu, który go przypadł. Wyprowadza się więc z bogatego hotelu, wraca do dawnego swego mieszkania na poddaszu, zagląda do ubogiej jadalni, którą niegdyś w ciężkich czasach codziennie odwiedza. Tu spotyka dawnego swego znajomego Mataboula, je on obecnie nie sam: razem z nim zasiadło do stołu małe dziewczę ośmioletnie, sierota po zgasłej z biedy i zgryzot siostrze. Alberyk dowiaduje się o jego losach, widzi, że obowiązek, jaki podjął Mataboul, przekształcił go zupełnie, że nawet ukochaną politykę, rozmowy o marynarce i Gambeccie zarzucił i w dwójnasób więcej pracuje, bo dziecko ma na głowie. I oto w myślach szczęśliwego młodzieńca wynurza się altruizm, poczucie obowiązku względem innych, biednych jednostek. „Spełniać swą powinność, pracować i żyć dla drugich — oto najlepszy sposób ożywienia się.“

Przejęty tą myślą, podąża ku swemu dawnemu mieszkaniu. Na poddaszu w sąsiedztwie mieszkała niegdyś pani Bouquet z córką Zoą, dziewczyną od najpierwszej młodości pracującą na matkę. Gdy wygrał pieniądze, prosił matkę o pozwolenie dopomożenia jej, lecz ta, kobieta dość niesympatyczna, o ruchach królowej Maryi Antoniny, ofuknęła go i niegrzecznie przyjęła. Teraz po roku słabość i bieda ugięły ją. Kiedy Alberyk zapukał, wychodzi naprzeciw niego z życzliwem obliczem Zoa, a pani Bouquet przyjmuje go jak dawnego swego dobrego znajomego. Naraz więc budzą się w nim znowu myśli o obowiązkach społecznych, błyskają mocniej tlejące na dnie serca płomyki miłości dla Zoy. Po dłuższej serdecznej rozmowie Alberyk zbliża się do matki i prosi ją o rękę córki. „Cóż miała zrobić biedna chora? Z radości łzy zakręciły się jej w oczach i pobłogosławiła kochających się.“

Alberyk opuszcza potem „towarzystwo,“ wyjeżdża w okolice Paryża, zaopiekowywa się wychowanką Mataboula i razem z poczciwą żoną snuje dnie szczęścia. Dom jego leży na lesistym wzgórku u brzegów Sekwany, przed domem ściele się taras zielony, ukwiecony. Na niego wywozi Zoe codzień chorą swą, sparaliżowaną matkę, a tymczasem dołem mkną po rzece statki i płyną ładunki drzewa...

Zwłaszcza w drugiej noweli spotykamy się z postaciami współczesnej Francyi tylko przez Coppégo z prawdą życiową i talentem odtworzonemi. Osnowy „Lekarstwa przez biedę“ nie stanowi wcale miłość, jakby nareszcie mógł ktoś wnosić z zakończenia. Jest to psychologiczne studyum z życia człowieka, niemającego żadnych

skłonności do wybryków i rozpusty, przypadkiem rzuconego w salonowe błoto. Typ Alberyka pochwycony z wielkim realizmem, u boku jego możnaby postawić przedewszystkiem bohatera „Całej młodości“ (Toute une jeunesse), powieści, jak wiadomo, stanowiącej pewnego rodzaju autobiografię samego autora. Bo i Coppée — to człowiek, który z biedy i nędzy wybił się na jednego ze znakomitszych pisarzy Francyi, zdobył szeroką sławę, znalazł wstęp do „towarzystwa, a mimo to pozostał tym samym poetą maluczkich, tym samym twórcą „Les humbles,“ jakim był ongi przed dwudziestu, trzydziestu laty. Chociaż mógł kołysać się na falach życia światowego, pozostał w zaciszu, zawsze skromny i zawsze daleki od ambicyi.

Obok Alberyka, Mataboul i Zoe zasługują na wyszczególnienie jako typy prawdziwe i sympatyczne. Zoe ma wiele wspólnego z tą tak uczciwą, tak szczerze kochającą Henryką z „Henriette“ (Fiołki Henryki). Świat „Lekarstwa przez biedę“ szary i zwykły, ale promienie rzucone nań przez autora dodają mu wiele uroku i światła.

Zarzucićby się dało nieco pierwszej noweli. Sama myśl jej może zbyt optymistyczna. Zapewne że brak i niedostatek silny niekiedy przedstawiają bodziec w życiu ludzkiem, ale bądźmy pewni, że świat wygodnie obyłby się bez niego. Zresztą moralizatorstwa, jak zaznaczyłem, autor wcale nie miał na myśli, chodziło mu raczej o psychologię osobników, których i bieda nie może złamać. Jeżeli z tego stanowiska będziemy przypatrywali się „Zwrotowi pieniędzy,“ zrozumiemy go lepiej. W księdzu Moulin i trzech wierzycielach, bankierzo dotykamy znowu tych samych uczciwych postaci. Są one może mniej częste, ale czyż możemy zaprzeczyć kategorycznie ich istnieniu?

Czem nadto cechują „Prawdziwie bogaci,“ to humorem. Element to w dotychczasowych utworach Coppégo mało wyzyskany, jednak tu rozwinięty z talentem i siłą. Na każdej stronicy słyszymy wesoły śmiech autora. Nie drży w nim nuta ironii, nie czuć przesady Marka Twaina lub dowcipniśiostwa cenionego w Paryżu humorysty Alfonsa Allais, czujemy tu coś Dickensowskiego. Jak Dickens, autor przeznaczył swe dzieło dla wszystkich zbliżonych do jego postaci, a wiedząc, że smutni są i zasępieni, na chwilę przynajmniej spędza z czoła ich chmurę troski.

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA

Karol Bleibtreu. *Napoleon.*

Pamięć wielkich ludzi ciąży zawsze na uczuciach i poglądach masy inteligentnej. Zjawiają się zwykle oni w wyobraźni niekrytycznego ogółu jako olbrzymy ducha i woli, obdarzone niezwykłą siłą twórczą, chętnie wyodrębnieni z pośród gromady ludzkiej. Fantazya wyposaża ich właściwościami prawie nadnaturalnemi, a myśl pospolita pochopnie uniezależnia ich od zwykłych, obowiązujących praw psychicznych i socyologicznych. Niezdolna objąć wewnętrznego związku zjawisk, wznieść się do odczucia pojęcia ogólnej przyczynowości, nie potrafi powiązać tych ludzi z ogólnym biegiem. Wielcy ludzie są dla niej tworami, których przeznaczenie zsyła podczas ważnych momentów dla wypełnienia doniosłej misyi dziejowej. We wszelkich pojęciach i zapatrywaniach szara masa stoi na gruncie celowości, więc nie może przeniknąć myślą w głąb złożonego mechanizmu psychiczno-społecznego. Ale kult wielkich ludzi panuje nietylko nad szarą masą, podlegają mu także jednostki wyżej stojące umysłowo. Z rozmaitych źródeł wypływa ten objaw, którego na tem miejscu nie możemy dokładnie rozważać; świadczy on wymownie, iż ogół inteligentny mało posiada skłonności do zgłębiania naukowego zjawisk duchowo-społecznych, do badania przedmiotowego, z drugiej zaś strony ujawnia wybujanie uczuciowe, potrzebę jakiejś wiary, ukochania czegoś. Jest cała sfera ludzi, przepojona subjektywizmem, patrząca na świat przez pryzmat indywidualnych upodobań i wstrętów, bezwiednych lub też świadomych arystokratów ducha, czczących wybrańców natury i losu, a pomiatających lub też pomijających wielką, bezimienną, nieosobistą rzeszę ludzką.

Zwróćmy się jednak do Napoleona w zobrazowaniu H. Bleibtreua. Autor jest osobistością głośną, jako przywódca, a raczej herold „Młodych Niemiec“ i kierunku naturalistycznego. Dzieło jego „Przewrót w literaturze“ (*Revolution der Litteratur*) rozpoczęło chronologicznie pobudki bojowe nowej szkoły. Jest to bardzo charakterystyczny i typowy przedstawiciel „epoki burzy i zapędów.“ Życie społeczne niemieckie nie bieży wartkim potokiem, nie zostało ono opromienione glorią wielkich i doniosłych dążeń, szczególnie atmosfera duchowa klas posiadających zatruta jest pierwiastkami filisterstwa, drobnomieszczańskiej mądrości i oportunizmu.

Burżuazya niemiecka nie posiada świetnej tradycyi, zawsze kroczyła ona za rydwanem liberalizmu. Okres ideologicznego nastroju i wrzenia inteligencyi niemieckiej był krótkotrwały i słaby, idealizm jej był bardziej sentymentalny i metafizyczny, niż rzutki i czynny. Prędko wytrzeźwiała ona i pozbyła się marzeń o lotach Ikarowych. Tem można objaśnić potężny wpływ Schopenhauera i Hartmanna, a także zacietrzewienie germanizacyjne. Nastrój taki sprzyjał a nawet umożebnił i uwarunkował kierunek naturalistyczny i realistyczny w literaturze. Ale wszystkie hasła i metody tego kierunku zostały wytworzone już gdzieindziej. Niemcom przypadło tylko naśladowanie tych właściwości i skojarzenie ich. Powstało więc ubóstwianie i naśladowanie Zoli, Tołstoja, Ibsena i Strindberga. Bardziej ruchliwe jednostki, jak Bleibtreu, nie mogły poprzestać na tem, uczucie i myśl ich musiały szukać jakiejś innej jeszcze gwiazdy przewodniej; zasada indywidualizmu, której one są świadomymi lub też bezwiednymi czcicielami, mogła znaleść śród społecznego zamętu ujście i podstawę tylko w kulcie wielkich ludzi.

Bleitreu uprzednio już wywyższył na piedestał niebotyczny Byrona. Obecnie uczynił to samo z Napoleonem. Jego dzieło jest właściwie zarysem monograficznym, obejmującym jeden tylko ustęp z dziejów Napoleona, mianowicie walki 1814 r. toczone z przemagającym wrogiem, kiedy geniusz jego pasował się z największemi trudnościami i dokonywał największych wysiłków swej mocy. Autor wyłącznie uwzględnił tylko stronę militarną, całą książkę poświęcił opisom walk i ruchom wojsk. W przedmowie Bleibtreu puścił wodze swym pomysłom i uczuciom historyozoficznym. Napoleona na szczyt władzy i powodzenia wyniosły fale rewolucyjne, był on właściwie ucieleśnieniem i wykonawcą idei nowego porządku, ten ostatni w nim się nawet najdokładniej streścił. Indywidualnie był to przedewszystkiem wielki wódz, wielki wojownik, ale całkiem nowożytny, nie było w nim zgoła właściwości kondotjera włoskiego ze schyłku epoki średniowiecznej, jak utrzymuje Taine. Sam on potęgę i naturę uzdolnień swych dokładnie odczuwał. W jego własnem *Vie de Napoleon* błędy militarne są wyszczególnione i uświadomione nierównie wszechstronniej i szerzej, niż polityczne. Na wszystkich jego planach i rachubach militarnych właściwy jego zawód—artylerzysty—wycisnął piętno wyraziste.

Pewien historyk powiada o nim, iż jego celem bojowym było „faire converger l'artillerie sur un point donné, c'était sa clef de victoire.“ Był on wodzem zupełnie nowożytnym, obliczanie i wyzyskiwanie różnorodnych okoliczności stanowiło nić przewodnią jego działalności, a postaci jego nie opromienia blask brawury osobistej. Przesądny, fatalista, wierzący w swoją gwiazdę, powiadający o sobie: „jestem dzieckiem okoliczności,“ własną pracą i doświadczeniem zdobył prawie całą swą wiedzę. Taine najwyżej to ceni, że między nim a rzeczą, faktem i człowiekiem nie stawała książka, nie pośredniczyło słowo, nie bruździł narzucony z góry pogląd, nie wciskała się gruba mgła sztucznych klasyfikacyj i abstrakcyjnych teoryj. Badając nieustannie sam siebie, ażeby drugich poznać, drogą podwójnej analizy doszedł on rychło do skończonego mistrzostwa w uderzaniu najodpowiedniejszej struny ludzkiej. Dzielnie się też przyczyniła do osiągnięcia nabytej biegłości wyjątkowo olbrzymia pamięć, w której zarówno dar analizowania wrażeń i spostrzeżeń, jak i wszystkie jego władze duchowe szeroką i niewzruszoną miały podstawę. Zdumienie ogarnia na myśl, ile topograficznych, raz jeden dojrzanych szczegółów, ile najdrobiazgowszych cyfr, dotyczących wojsk, floty, uzbrojenia i zaopatrzenia mieściło się swobodnie w jego militarnej pamięci. Był to rzeczywiście mózg pracujący bez miary i przerwy, z najwyższą gorączką i wytężeniem wszystkich sił rozporządzalnych. Geniusz — to przedewszystkiem zdolność do nierównie dłuższego i energiczniejszego natężenia myśli, uwagi itd., aniżeli okazują przeciętne jednostki. Bleibtreu żywi prawdziwy kult dla geniuszów, wywyższa ich nieskończenie po nad tłum bierny. Znamieniem geniusza — twierdzi on — jest pociąg do uniwersalności, która każdy czyn zabarwia jakimś pierwiastkiem wiecznym i nieograniczonym. Wola taka z trudnością nagina się do wyłącznie przedmiotowego postępowania, gdyż właśnie główną jej wartość stanowi oryginalność i odrębność czysto podmiotowa. W wyobraźni Bleibtreua wojny pełnią szczytną rolę: tworzą one wszędzie słupy graniczne kolejnych okresów coraz doskonalszego rozwoju. Napoleon, to według niego „jaskinia ognista, której nie zdołasz zmierzyć ani barometrem, ani łokciem. Z pewną czołobitnością należy zapamiętać jej rysy znamienne, aby potem również z czołobitnością je odtworzyć i odmalować, jak przystało wobec strasznie pięknego i rzadkiego kataklizmu przyrody, który swą wspaniałością orzeźwia widza, wyrywając się równocześnie z ciasnych i małostkowych szranek poznawalnego.“ Jest to ustęp bardzo charakterystyczny; rzeczywiście, kto nie dostrzega nic idejowo szczytnego śród tegoczesnego chaosu, kto upatruje tylko „ciasne“ i „małostkowe“ sprawy i popędy śród spółczesnych fal życiowych, ten może chronić się od ustronnej świątyni kultu wielkich ludzi.

Studyum Bleibtreua skreślone zostało nie bez talentu, zwłaszcza pierwszy rozdział rysuje się plastycznie. Skłonność do malowania bitew wcześnie już przejawiła się u autora; krytyka niemiecka podniosła nawet z naciskiem wartość jego *Dies irae* (Erinnerungen eines französischen Offiziers an die Tage von Sedan). Ale dla kogo dzieło to zostało przetłomaczone? Pokolenie Rzeckich (Prus — *Lalka)* już u nas prawie wygasło. Czytelnik „Wojny i pokoju“ Tołstoja, opowiadań wojennych Garszyna a nawet Zoli, szuka w opisach wojny czego innego: psychologii poruszeń masowych i falowań nastroju masowego, chce on odczuwać wszystkie bóle i nawałnice wojny, uprzytomnia sobie nikłość i kruchość woli jednostkowej, a siłę despotyczną popędów zbiorowych, całą ohydę rzezi strasznej, bezlitośnie dławiącej instynkty ludzkie, a rodzącej dzikie żądze. Natomiast jakież uczucia może wywołać opis siły i władzy jednostkowej, poruszającej wszech-

władnie całem mrowiskiem ludzkiem i czyniącej zeń jakiś mechanizm, nakręcony dowolnie?

Br. Ch.

TEATR.

Nauczycielka, sztuka w 4 aktach, zalecona do grania w teatrze Rozmaitości przez komisyę konkursową *Kur. warsz.*

„Flirt" zabawił, „Szare życie" znudziło i zniecierpliwiło słuchaczów; ale przynajmniej „Nauczycielka" w znacznej mierze powetowała zawody, zatarła niemiło wrażenia z powyższych owoców konkursu i tkliwszym — trochę łez wycisnęła. Rzecz sama przez się o wiele lepsza, zyskuje nadto całą sumę warunków dodatnich w rozmiarach ujemnej poprzedniczek. Całe jej tło i pokrój zupełnie się różnią od podścieliska dwóch pierwszych utworów scenicznych. Gdybyśmy jednak chcieli wybrać jeden ze zwyczajnych pocisków krytycznych, dość byłoby przytoczyć wykrzyknik Ben Aciby. Jużeśmy tyle razy widzieli ten skostniały, zraczały świat arystokracyi, tych książąt-donżuanów i owe postacie szlachetne, wyrastające na zgniliznie, matrony tkliwe, wyrozumiałe, ale nie przekraczające granic swojej etyki osobnej, przekazanych potomnie konwenansów i cnót domowych. Widzieliśmy także tych poczciwych, oddanych całą duszą pracodawcom pełnomocników, podwajających swą zabiegliwością fortunę pańską. Wreszcie napatrzyliśmy się dowoli w różnorodnej formie literatury na owych mamutów szlachetczyzny, zagłębionych w herbarzach i rodowodach. Ale czy podobna wymagać od wszystkich autorów, ażeby gonili za bezwzględną oryginalnością? Zapewne, wolelibyśmy czuć nowe podmuchy w literaturze, szersze prądy, skupiające w obszernem łożysku potrzeby, uczucia i dążenia nie jednostek. Wolelibyśmy nie widzieć tego ciągłego czołgania się po drobiazgach życiowych. Ale skoro to jest niemożebne, szukajmy ziarnek złota w piasku. Zresztą nie miejmy zbyt wielkich roszczeń do szerszych widnokręgów w literaturze, skoro ich w życiu nie widzimy. Jeżeli postacie nie są drewniane, jeżeli autor, jak w „Szarem życiu," nie robi wystawy pajaców, jeżeli jego typy drgają życiem chociaż powszedniem, a nić zdarzeń wysnuwana jest z kłębka natury ludzkiej, zwyrodniałej na tle urządzeń pogmatwanych i wadliwych — to już wiele. Nie zwracamy w takim razie uwagi na zewnętrzne strony, dobrze nam znane tych postaci, lecz szukamy drgnień oryginalnych w ich charakterach i gdy widzimy prawdę życiową, to już nas w znacznej mierze zadowolić powinno.

Takie właśnie cechy posiada trzecia sztuka konkursowa. Hrabina Beata Lignicka od samego początku zaskarbia względy widza swoją dobrocią, łagodnością, wreszcie wyrozumiałością... po za granicami domu własnego. Długoletnie doświadczenie nauczyło ją patrzeć w życie spokojnie i pobłażać ułomnościom natury ludzkiej, o ile te nie zagrażają chociaż pośrednio i w nieznacznej cząstce jej najukochańszej wnuczce, Felicyi. Chciałaby dla niej znaleźć jaknajzacniejszego towarzysza życia, któryby nie pokalał cnoty panny, wypielęgnowanej w cieplarni wielkopańskiej. Wie, że to jest żądanie zbyt trudne, nawet przy użyciu latarki Dyogenesowej. W Ostendzie wnuczka poznała i pokochała księcia Porycza i ten konkurent zdaje się być najodpowiedniejszym, ale głuche pogłoski o jego „sprawkach" niepokoją poważną matronę. Jakoż powoli brudna jego przeszłość wynurza się coraz wyraźniej. Od początku słyszymy o uwiedzeniu nauczycielki jego siostry, wiemy także, iż panna Felicya ma nauczycielkę i zarazem szczerą przyjaciółkę, kochaną również przez hrabinę i jej zacnego pełnomocnika, Jana Barskiego. Ale uwiedziona była panną i po porzuceniu przez kochanka otruła się; kierowniczką zaś hrabianki jest wdowa, Marta Czerw. Jej atoli wieczny smutek, złamanie i przygnębienie, wreszcie odrzucanie bez żadnej przyczyny ręki człowieka, którego sama serdecznie kocha, wszystko budzi odrazu podejrzenie, że ona właśnie była ofiarą młodego księcia. Los dziwnie zrządza, iż zdanie pokrzywdzonej ma być wyrokiem, stanowiącym o związku Porycza z panną Lignicką. Pani Czerw pochodzi właśnie z tych samych stron, musiała coś słyszeć o przeszłości konkurenta. Książę chce dalej płynąć szeroką falą uciech i hulanek, pragnie nadwątloną fortunę połatać i wzmocnić majątkiem przyszłej żony, a tu mu staje na drodze dawna kochanka, której układami usunąć nie może, bo jest dumna, ambitna, nie chciała od ojca panicza przyjąć wynagrodzenia pieniężnego za krzywdę. Przypadek ułatwia nauczycielce przykre zadanie potwierdzenia pogłosek o księciu. Matka jej, prostaczka, wygadała się przed hrabiną, że Marta nigdy nie była mężatką. Rzecz prosta, iż po takiem odkryciu nie może ona przekraczać progu rodziny arystokratycznej, ale i konkurent dostaje odkosza. Nie koniec jednak na tem. Barski kocha pannę Czerw, ona zaś ze względu na swą przeszłość nie może myśleć o związku z nim, ale chciałaby szacunek jego na zawsze utrwalić. Wie o tem książę i grozi wykryciem tajemnicy. Akcya nabiera największej siły dramatycznej przy samym końcu, w gabinecie przylegającym do sali koncertowej, gdzie nauczycielka bierze udział w zabawie muzycznej na cel dobroczynny. Po długich błaganiach Barskiego o rękę i stanowczej odmowie, następuje gwałtowna scena z cynicznym księciem, miotającym pogróżki. Przypadkowo za drzwiami Barski się temu przysłuchał i zrozumiał naraz całe nieszczęście, ogrom cierpienia swej ukochanej i podłość księcia. Następuje wyzwanie no, i zdawałoby się, że według szablonu powinna być ostatnia scena bolesnego zerwania wszelkich stosunków między nieszczęśliwymi kochankami. Autor jednak zachował się względem swych bohaterów inaczej i zrobił dobrze: Barski pomimo smutnego odkrycia pragnie się połączyć z Martą, bo wie, że się stała mimowolną ofiarą donżuana, któremu zupełnie zaufała i uwierzyła w jego przyrzeczenia, a kilkoletnią męczarnią moralną zmazała swe zapomnienie chwilowe.

Główna bohaterka przez cztery akty przykuwa uwagę widza, zdobywa jego życzliwość i współczucie, ale razi niedoścignionym w życiu ideałem drażliwości. Zkąd te wieczne katusze, nieprzygasające ani na chwilę wybuchy rozpaczy? Wątpię, czy takie piekło może kipieć bezustannie w duszy kobiety, obdarzonej największą nawet sumą pierwiastków szlachetności i uczciwości. Cierpienia te, jakkolwiek gryzące i podsycane miłością człowieka nieskazitelnego, nie mogą być wiecznie ziejącym wulkanem. W sztuce potęguje to pierwiastek dramatyczny, ale naraża na szwank prawdę życiową. Trochę mniej monotonnych opowiadań, przewlekających akt pierwszy i drugi, byłoby z większym pożytkiem dla utworu scenicznego. Na korzyść autora przemawia to, iż wszystkie postacie główniejsze są wyraźnie wycieniowane, a na dalszym planie stara matka nauczycielki, prostaczka, jest nadzwyczaj wiernie pochwycona z rzeczywistości. Bezduszna, z przytępionemi uczuciami, egoistka, myśli tylko o własnej wygodzie, brzuchu i podniebieniu dręczy swą córkę i bezwiedną brutalnością uraża ją najdotkliwiej. „Wyjdź za mąż, będzie mi lepiej; o tem co było, ludzie już dawno zapomnieli." W tych słowach maluje się cały poziom tej grubej w instynktach najniższych kobiety, uderzającej pięściami w najdelikatniejsze struny uczuć. Pierwiastek komiczny stanowią trzy postacie: Sabina Arkowska (p. Borkowska) i jej dzieci: Walerya (p. Czaąkówna) i Konstanty (p. Wolski). Z tych ostatni, jako zabytek archaiczny, dotychczas istniejący w naszem społeczeństwie, zasługuje na uwagę. Mieliśmy sposobność i dziś jeszcze spotykać takich młodzieńców, pyszniących się szlachetnem urodzeniem, herbami i zasługami przodków. Podobny typ w *Nauczycielce* mógł dać sposobność autorowi do wyzyskania wielu śmiesznych stron skostniałości i aroganccyi szlacheckiej. Stał się atoli karykaturą i to już wyzyskaną o wiele lepiej i zręczniej przez innych pisarzów. Sprzecznością razi naiwność siostry tego mamuta, która go strofuje i rumieni się za jego i swej matki głupotę, a jednak nie może zrozumieć, co to znaczy „nadużyć zaufania kochającej kobiety." Sądzę, iż potrafiłaby to jej wytłomaczyć każda panna, zaledwie zrzucająca mundurek pensyonarski.

Bohaterką przedstawienia była p. Marcellówna, która swoją grą subtelną i wyborną potrafiła odrazu zjednać współczucie widzów dla nieszczęśliwej nauczycielki. Mniej jednak zewnętrznego łamania się z rozpaczą zbliżyłoby tę postać bardziej do prawdy. P. Prażmowski, jakkolwiek nie żałował czarnej barwy młodemu księciu i starał się całą jego figurę potworną wyraźnie zarysować, jednak dawno się nie czuło takiego braku Tatarkiewicza, jak w tej roli. Nadałby on owej postaci więcej cynizmu, chłodu i dystynkcyi, zarówno w głosie jak ruchach i postawie. P. Niewiarowska dobrą była matroną, pielęgnującą tradycyę, cnoty wielkopańskie i rozlewającą swą łaskę na niższe szczeble społeczne. P. Trapszówna, jako jej wnuczka, wlała dużo życia w panienkę dobrze wychowaną ale może za wiele tkliwości i pieszczoty w głosie poświęciła swej nauczycielce. P. Czakówna mogłaby się lepiej i naturalniej śmiać z głupiego brata; byłoby to zgodniej z jej grą szczerą. P. Nowicki pojął dobrze postać Barskiego i odtworzył ją szlachetnie. Stara matka nauczycielki trafną znalazła wykonawczynię w p. Mazurowskiej, chociaż, zdaje się, właściwsza byłaby to rola dla p. Borkowskiej, która natomiast jako Arkowska, wyzyskała komiczne cechy matki, zaślepionej miłością dla półgłówka syna. P. Wolski swoim humorem szczerze bawił widzów. Wreszcie zasługuje na uwagę uwydatniona przez p. Szymanowskiego postać Czelatyckiego, zausznika pańskiego i pieczeniarza.

Zenon Piętkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Przy Putyłowskiej fabryce żelaza, za staraniem p. Woroncewa, zawiązano niegdyś spółkę spożywczą na warunkach trochę nieprzyjaznych dla robotników. Członkiem mianował się ten, kto wniósł do ogólnej kasy 50 rubli albo odrazu, albo w ciągu 5 miesięcy. Otóż na ostatniem zgromadzeniu jeden z inspektorów, dr. Łoziński, wykazał, że biedniejszym spożywcom dzieje się krzywda: bogatsi otrzymują dywidendy do 30%, zaś uczestnicy spółki, nie członkowie, zyskują zaledwo małe ustępstwa około 2%. Mniemał tedy, że trzeba zmniejszyć wymagania i tym sposobem dać możność uczestniczenia większości. P. Łabuński, podobno zazdroszcząc wnioskodawcy jego idei, obalił projekt.

W Wolno-ekonomicznem towarzystwie p. Chodzki czytał rozprawę o podatku dochodowym. Kwestya wywołała żywe spory. Prezes zgromadzenia p. Łomański, gdy zasumował zdania, doszedł do wniosku, że odpowie na nie przyszłość. W samej rzeczy

trudno jest decydować tam, gdzie się budzi dziesiątki pytań pobocznych. Jedni mniemali, że podatek taki, jako najsprawiedliwszy, powinien zastąpić wszelkie istniejące, natomiast inni dowodzili, że możnaby go wprowadzić jako dodatek dla zwiększenia zasobów skarbu. Byli i tacy, co niechętnie patrząc na wszelkie nowostki, twierdzili, że podatek dochodowy jest błędny w zasadzie.

O tem, jakie sądy są najsprawiedliwsze, głośnych rozpraw nie słyszymy, za to w potocznej gawędce szerzy się pogłoska, że sądy przysięgłych, jako nieodpowiadające warunkom czasu, mają uledz zupełnej reformie.

Sarah Bernhard w Małym teatrze zbiera wawrzyny, a przynajmniej obfite plony. Ceny miejsc wygórowane są do najwyższego stopnia; krzesło pierwszego rzędu kosztuje 15 rs., najtańsze zaś miejsce 2 rs. Sardou skoszlawił *Kleopatrę* Szekspira; byle uwydatnić grę Sary B., sprowadzono z Paryża kulisy dla czterech tylko przedstawień tego dramatu. Gra artystki dotychczas jest dobra, jeno razi ucho nienaturalna dykcya starej szkoły, wreszcie sam jej zapał budzi wątpliwość. I widzowie i artystka wiedzą przecie, że w roli Kleopatry występuje nie młoda niewiasta, ale wiekowa jejmość, której obca jest, przynajmniej w wyższym stopniu, wszelka namiętność. To przekonanie tkwi w umyśle przez cały czas i mąci złudzenie. Nie dziw więc, że oklaski zgromadzonych są nader przyzwoite. Nie klaskać uznanej znakomitości — nie wypada, a czynić tego z zapałem nie chcą dłonie... Jest to ofiara składana na ołtarzu bóstwa, które już nie budzi fanatyzmu, ale jeszcze nie postradało znaczenia w społeczeństwie, chociażby jako zabytek.

Teatr polski naznaczył ceny skromne, salę wybrał dla przedstawień niezbyt obszerną, a jednak częstokroć połowa miejsc stoi pustką... Dla zachęty publiczności artyści wciąż nowe wystawiają sztuki. Naturalnie o wypoczynku, skupieniu się, o studyach nawet mowy być nie może. Siły artystyczne, z wyjątkiem kilku osób, są słabe, szczególnie w personelu żeńskim. Morska, przy szczęśliwych warunkach, mogłaby stać się aktorką wybitną, albowiem w odpowiednich do jej temperamentu rolach gra dobrze, tu zaś, nie mając czasu do pracy i przy niemożności wyboru, powszednieje. Kamiński obarczony reżyseryą zrazu rzadko się ukazywał na scenie, dopiero gdy Gloger przyjął na siebie część ciężaru, widujemy go.

Nieszczęściem jest także, że sala Pawłowej, gdzie się mieści teatr, nie ma zupełnie loż, a więc nasze panie nie mogą wykazać ani swych ubiorów, ani wdzięków... to też niechętnie uczęszczają pozostawiając teatr dla demosu.

W zarządzie dochodami parafialnymi kościoła św. Katarzyny zaszła ważna zmiana; zakon dominikanów został usunięty na drugi plan, proboszczem mianowano księdza świeckiego. Bezwątpienia przy tej okoliczności nastąpią pewne przekształcenia stosunków między przedstawicielami parafii—syndykami i kleru. Za rządów o.o. dominikanów owe stosunki były nader chwiejne: wybór przeora uskuteczniał się co trzy lata, nowy zwierzchnik wnosił nowe zamiary, na falach zagrodowej sadzawki, ku wielkiej twodze kacząt i gąsek, tworzyły się burze, które kończyły się najczęściej tem, że wyrzucały na mieliznę przewodniczących szkół. Przy zamianach nie wiadomo było, dlaczego usuwano jednych i wprowadzano drugich, działo się to wszystko bez żadnej przewodniej idei, bez chęci ulepszenia, wprost dla wykazania władzy. Tuszymy, że teraz wszystko się uspokoi i utrwali, że zacny prefekt ks. Zelba jest ostatnią ofiarą na ołtarzu bogini Gmatwaniny, że odtąd nastaną czasy prawdy i sprawiedliwości, że się nic nie uczyni dla prywaty, jeno dla dobra bliźnich.

Żegnając rządy o.o. dominikanów, powtórzmy stare łacińskie przysłowie: o umarłych albo mówią dobrze, albo milczą.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Przewidywanie.

Być może, iż niektórzy z czytelników zapamiętali podaną w *Prawdzie* przepowiednię pewnego astronoma-meteorologa, który na podstawie historycznych badań związku między plamami słońca a stanem atmosfery doszedł do wniosku, że w roku ubiegłym wstąpiliśmy w okres lat suchych i ciepłych. Jeżeli wróżba ta nie jest mylna (a łagodny przebieg obecnej jesieni zdaje się ją również potwierdzać) i jeżeli obniżenie się poziomu wód zaskórnych rzeczywiście sprzyja rozwojowi cholery, to nabiera wielkiego prawdopodobieństwa możliwość przezimowania panującej u nas epidemii. Jest ona bardzo słaba, zabiera ofiary nieliczne, ale trwa ciągle, a nawet co pewien czas tu i owdzie wzmaga się nagle. Z tych względów sądzimy, że czujność nasza w walce ze strasznym wrogiem nie powinna ustawać nawet wtedy, gdy zima pozornie dobije zarazę. Nie zapominajmy przytem, że gdyby nawet cholera istotnie wygasła podczas miesięcy mroźnych w naszym kraju, to jeszcze nie nam nie ręczy, że ona nie wkradnie się do niego na wiosnę z zagranicy, gdzie posiada przyjaźniejsze warunki klimatyczne i grasuje dotychczas. Robimy to ostrzeżenie dla tych, którzy zaczęli lekceważyć przepisy hygieny, zaniedbywać ostrożność, opuszczać się w zachowywaniu czystości — słowem, krzyczeć hop!, nie przeskoczywszy jeszcze rowu.

Rząd również policzył się z możliwością wybuchu cholery na wiosnę i dla wczesnego obmyślenia środków zapobiegawczych zwołuje na 25 grudnia do Petersburga zjazd lekarzów z gubernij (po 1—2 z każdej) dotkniętych epidemią. Oto program narad według *Prawit. Wiestnika*:

A) O środkach uzdrowotnienia danych miejscowości.

1) Charakterystyka miejscowości z wodą niezdatną lub niezdrową do picia i wskazanie środków zapewnienia im dobrej wody.

2) Rodzaj i sposoby oczyszczania dołów kloacznych.

3) Organizacya kontroli sanitarnej.

B) O środkach wymierzonych przeciw przeniesieniu zarazy i o niezbędnych rozporządzeniach, jakie zastosować należy wobec możliwości pojawienia się epidemii.

1) Sposoby wykrycia pierwszego wypadku cholerycznego, organizacya regestrowania chorych i zmarłych.

2) Sposób odosobniania i przewożenia chorych.

3) Systemy rozjazdowe i stacyjne pomocy lekarskiej w czasie epidemii.

4) Rola służby sanitarnej, przyuczenie niższego personelu służbowego do pielęgnowania chorych i dezynfakcyi.

5) Sposoby dezynfekcyi, jakie okazały się najskuteczniejsze i najodpowiedniejsze.

Dezynfekowanie wypróżnień, mieszkań, rzeczy, naczyń itp.

Ile kosztuje dezynfekcya i czy możliwem jest zastąpienie jej za pomocą palenia rzeczy.

6) Sposoby usuwania nieczystości i rola dezynfekcyi we wsiach.

Co jest więcej pożądane: czy usunięcie chorego do zakładu leczniczego, czy izolowanie go w zajmowanem pomieszkaniu pod warunkiem gruntownej dezynfekcyi.

C) O terapii cholery.

Nadto departament lekarski zaprasza wszystkich lekarzów do nadesłania piśmiennych odpowiedzi według następującego kwestyonaryusza, obejmującego główne punkty z przebiegu epidemii w r. 1892.

I. Wiadomości wstępne. 1) Ogólny charakter miejscowości, w której rozwinęła się epidemia (miejscowość górzysta, płaska, piaszczysta, błotnista, lesista itd.). Obszar jej, liczba punktów zamieszkanych i cyfra mieszkańców. Liczba punktów, dotkniętych przez cholerę (wypadki sporadyczne i epidemia oddzielnie) ze szczegółowym opisem charakteru danej miejscowości.

2) Ogólna charakterystyka ludności: narodowość, zajęcia przeważające, ruch ludności za zarobkiem, zamożność, zamiłowanie czystości zarówno u jednostek, jak i całości mieszkańców, gęstość zaludnienia, zwyczaje i obyczaje zarówno w miejscowościach dotkniętych przez epidemię, jak i niedotkniętych.

3) Sposoby otrzymywania w miejscowościach zarażonych i niezarażonych wody do picia, z wymienieniem zanieczyszczenia źródeł, jej otrzymywania, jako to: rzek, strumieni, studzien, wody deszczowej i śniegowej itd.

4) Właściwości meteorologiczne danej miejscowości w r. 1892 w porównaniu z poprzedzającemi (2—3) latami.

5) Zjawiska, poprzedzające epidemię i wpływające na osłabienie siły żywotnej ludności, jako to: głód, tyfus wysypkowy, szkorbut itd.

5) Organizacya pomocy lekarskiej dla ludności i środki, mające na celu wykrycie pierwszych wypadków cholery. Promienie okręgów lekarskich i felczerskich. Braki w organizacyi pomocy lekarskiej.

7) Środki lekarskie, przedsięwzięte celem zapobieżenia pojawieniu się cholery w danej miejscowości i przecięcia jej dalszego rozwoju. Czas, przez jaki były stosowane i ich braki.

8) Liczba kuratorów sanitarnych i ich działalność. Wydatki na asenizacyę miejscowości zamieszkanych.

9) Liczba powołanego dodatkowo personelu lekarskiego (lekarzy, felczerów, studentów itd.). Wydatki z tego powodu. Warunki i okres czasu ich działalności.

II. Epidemia choleryczna. 1) Pierwsze wypadki cholery w każdym punkcie zamieszkanym. Czas ich pojawienia się, przypuszczalne źródło, droga i sposób przeniesienia zarazy. Czy dane wypadki były pod bezpośrednią kontrolą lekarza, felczera lub studenta. Czy przedsięwzięto natychmiast środki izolacyi. Przebieg pierwszych wypadków i skutki przedsięwziętych środków.

2) Następujące wypadki i jeżeli to jest możliwe, związek ich z pierwszymi (drogi zarazy). Zauważone wypadki zanieczyszczania wypróżnieniami chorych — źródeł wody do picia, oraz wypadki stwierdzenia w nich obecności przecinków Kocha.

3) Czy epidemia koncentrowała się w oddzielnych domach, ulicach lub cyrkułach, tak samo we wsiach, czy też równomiernie rozdzielała się w całej wsi. Prawdopodobne przyczyny zarówno pierwszego, jak i drugiego sposobu rozpowszechniania epidemii. Znaczenie w danym razie warunków, przytoczonych w punktach 1, 2, 3, 5, 6 i 7 części 1-ej kwestyonaryusza.

4) Liczba chorych i zmarłych na cholerę w każdej oddzielnej wsi i mieście, z przytoczeniem o ile możności lekarza, felczera lub studenta, którzy mieli w opiece chorego. Te same dane według sprawozdania policyi. Liczba zmarłych na cholerę według ksiąg metrycznych.

5) Podział liczby chorych według dni lub przynajmniej tygodni i okres trwania epidemii (według danych lekarskich i policyjnych, zmarłych zaś nadto według ksiąg metrycznych).

6) Segregacya chorych według płci, wieku (gdzie można, według zajęć), Wiek zmarłych według lekarzy i ksiąg metrycznych.

7) Charakterystyka epidemii: ile w każdej wsi było wypadków biegunki z charakterem cholerycznym. Główne symptomy podczas ostatniej epidemii. Okres choroby, zakończenie śmiercią lub wyzdrowieniem z przytoczeniem danych liczbowych, zebranych przez personel lekarski.

8) Zależność przebiegu epidemii (wzmożenie się lub zmniejszenie) od deszczów, burz, upałów itd., od gromadzeń się ludności na jarmarki, odpusty itd., wreszcie od stanu materyalnego ludności (wpływ zajęcia).

III. Warunki walki z epidemią. 1) Ocena przedsięwziętych środków z punktu widzenia dostateczności ich, odpowiedniości i celowości.

2) Przybliżone obliczenie co do liczebności personelu lekarskiego, niezbędnego w danej miejscowości, stosownie do gęstości zaludnienia i ujawnionego już napięcia epidemii. To samo co do środków dezynfekcyjnych i terapeutycznych.

3) Zachowanie się ludności wobec tych lub innych sposobów dezynfekcyi, oraz środków zapobiegania epidemii. Koszty dezynfekcyi i środków zapobiegawczych.

Caprivi — Grzegorzewski — Koch.

P. Grzegorzewski zadziwiał nas już niejednokrotnie: w powieściach, artykułach, korespondencyach występował jako wszędobylski i doskonały znawca południowo-wschodniej Europy i Azyi, który tak przeniknął tajemnice życia Bułgaryi lub Chin, jak ty, czytelniku, np. Markuszewa lub Nowomińska. Żył za pan brat z baszami i mandarynami, klepał po ramieniu emirów, wodzów i arcykapłanów wschodnich, otwierały się przed nim podwoje pałaców i świątyń, słowem, Vambery z całem przedzierżgnięciem się w muzułmanina wobec naszego oryentalisty mógł stanąć tylko w bardzo ciemnym kącie. Ale tego wszystkiego było nie dosyć: p. Grzegorzewski postanowił nas jeszcze bardziej zadziwić i złożył kanclerzowi niemieckiemu memoryał w sprawie stłumienia cholery u jej źródła współdziałaniem wszystkich państw europejskich. Caprivi odesłał to wypracowanie Kochowi, z którym rozmowę opisał w *Kuryerze warszawskim* p. Grzegorzewski. Czego właściwie chciał w „swych uwagach oryentalnych i ekspozycyi sprawy w jej pożądanej akcyi," tego ani my odgadnąć nie możemy, ani prawdopodobnie słynny bakteryolog, który, olśniony planem i wymową swego gościa, upokorzony jego wysokim tonem, przeważnie milczał lub wtrącał nieśmiało swoje trzy grosze, a w najważniejszym zaś momencie—jak powiada p. G. — „dr. Koch wpatrzył swe rozumne oczy a na twarzy jego malowała się ciekawość w oczekiwaniu jakichś *może nadzwyczajnych* rewelacyj oryentalnych z mojej strony." Jedyną wszakże „nadzwyczajną rewelacyą oryentalną" było oznajmienie, że w Bucharze istnieje rzeka Zerawszan, pełna zarazków, którą emir — znajomy p. G. — chciałby zasypać. Kochowi myśl ta wielce się podobała, ale p. Grzegorzewski uznał ją za niewykonalną i przeszedł do wykładu o wierze, o „profilaktowaniu ludzkości," o „środkach prohibicyjnych" i znowu o „akcyi międzynarodowej." Do jakiego wyniku doprowadziło to „omawianie kwestyi," nasz oryentalista nie doniósł; nie możemy przeto zwracać wzroku naszych czytelników ku brzaskowi, oświetlającemu drogę, którą wyjedzie na świat Febus Apollo i ognistemi strzałami zabije cholerę. Natomiast radzimy im rozwiązać sobie w wolnej chwili łatwą zagadkę: za kogo też uważa czytelników *Kuryera* p. Grzegorzewski? *P.*

Nasza statystyka.

Śród wielu innych nieszczęśliwych różnic, jakie prasa nasza przedstawia w porównaniu z zagraniczną, łatwo w niej dostrzedz jedną, ze szczególnym uporem zachowywaną metodę wpatrywania się sposobem fakirów w własny jedynie pępek. W Anglii, Francyi, Niemczech wszelka myśl donioślejszego znaczenia, podniesiona przez jedno pismo, natychmiast odbija się przyjaznem lub nieprzyjaznem echem w innych. U nas *Kuryer warszawski* rozpamiętywa tylko swoje projekty, *Codzienny* — swoje, *Gazeta* — swoje itd. Trzeba dopiero, ażeby ktoś zrobił gruby, bardzo gruby skandal, wtedy uruchomi się kilka lub kilkanaście pism, które złożą do urny swoje ostrożne głosy. Dzięki tej zasadzie, godnej jakiegoś zakątka prowincyonalnego, najważniejsze prawy nie bywają roztrząsano, popierane lub zwalczane przez całą prasę a skutkiem tego głos opinii nie wywiera żadnego wpływu nawet w tych wypadkach, w których mógłby go osiągnąć. *Prawda* od lat wielu przy rozmaitych sposobnościach wykazywała całą ułomność, niewiarogodność, poprostu fantastyczność zbieranego u nas materyału statystycznego, na którym przecie opierają się rozporządzenia władz, dzieła naukowe, wywody publicystyczne itd. Niektórzy zwłaszcza autorowie na kamiennych tablicach ryli cyfry zbierane przez pisarzów gminnych i urzędników powiatowych, nie przypuszczając ani na chwilę, ażeby cyfry te były wyssane z palca. A przecież tak jest, jak to wykazywaliśmy wielokrotnie i jak obecnie stwierdza *Warsz. Dziennik*, który temu przedmiotowi poświęcił parę artykułów, odsłaniając zło i projektując sposoby jego naprawy. W miastach większych, gdzie maszynerya zbierająca materyał statystyczny jest dość ścisła, posiada on większą, a czasem niewątpliwą wartość. Ale na prowincyi, gdzie bywa gromadzony nieudolnie a przedewszystkiem niedbale, nie posiada prawie żadnej. Weźmy kilka przykładów. Wszakże my wiemy, ile kraj nasz produkuje lnu, kartofli, buraków, zboża itd. Otóż czy jest bodaj jedna istota ludzka, która by corocznie na miejscu badała i sprawdzała ilość tej produkcyi? Pisarz gminny lub ktoś mu podobny, mając do wypełnienia nadesłany mu szemat, albo wpisuje doń cyfry, jakie 'mu się pod pióro nasuną, albo z ust posługacza kancelaryjnego czerpie wiadomości, ile w jakiej Wólce sieją konopi, ile w drugiej mają pszczół, ile w trzeciej zbierają pszenicy itd. Tu i owdzie przez całe dziesiątki lat przypisywane bywają z roku na rok te same liczby, pomimo że gdzieś albo znikły pasieki i sady, albo potroiły się w swych rozmiarach. Powstaje więc fantastyczny, nawskroś zmyślony obraz ekonomiczny, który jednakże służy za oparcie dla ważnych działań i poważnych wniosków. Budując na tym tumanie statystycznego kurzu, mniemamy naiwie, że jest granitową skałą i że to, co on dźwiga, posiada niewzruszoną trwałość, a tymczasem zamek na lodzie w porównaniu z tą budową może mieć pretensyę do wieczności. Ktoś proponuje w *Warsz. Dzienniku*, ażeby na każdy powiat był ustanowiony osobny urzędnik do układania statystyki, ktoś inny sądzi zasadnie, że jeden człowiek nie podołałby temu zadaniu. Bądź co bądź, czy drogą utworzenia specyalnych organów, czy też przekształcenia obecnych, musi być dokonana w tej dziedzinie gruntowna reforma, jeżeli statystyka nie ma pozostać nadal bałamutną improwizacyą oficyalistów kancelaryjnych, systematycznem okłamywaniem władz i nauki, lecz zamieni się na to — czem jest za granicą — na potężne i niezbędne narzędzie wiedzy. *N.*

Sprzedaż drzewek.

Towarzystwo ogrodnicze, którego część członków zapewne ze zdumieniem dowiedziała się, że ono posiada w Jankowie niedaleko Warszawy własną szkółkę drzewek (takiem otaczało ją milczeniem), — postanowiło sprzedać 9000 sztuk przez publiczną licytacyę d. 1 grudnia. Ogłoszenie uwiadamia, że przetarg rozpocznie się „od 10 kop. *za sztukę*" a streszczony w *Ogrodniku pols.* protokół, — że drzewka sprzedawane będą partyami. Wobec tego nastręczają się następujące pytania: 1) Czy szczepki będzie można kupować pojedynczo, czy tylko w większych ilościach? 2) Co z niemi pocznie nabywca 1 grudnia, kiedy prawdopodobnie nastaną mrozy? 3) Dlaczego licytacyi nie urządzono w jesieni — np. w październiku, kiedy jest pora przesadzania, lecz w zimie? Czemu nie umożliwiono drobnym gospodarzom wiejskim kupna za pomocą sprzedaży wczesnej, cząstkowej i powszechnie ogłoszonej? Na niektóre z tych pytań znajdują się zapewne odpowiedzi w „warunkach licytacyi, które są do przejrzenia w lokalu Towarzystwa," ale nawet z tej informacyi mogą korzystać ci tylko, którzy mieszkają w Warszawie lub do niej przyjeżdżają. Faktem jest, że Towarzystwo ogrodnicze, które jako instytucya społeczna, nie zaś spekulacyjna, powinno starać się o rozwinięcie swej działalności i wpływu jak najszerzej, mając 9000 drzewek, które rozkupione przez wieśniaków, pragnących zakładać ogródki, przyniosłyby istotny pożytek, nie zrobiło żadnego kroku w tym kierunku, poprzestało na ogólnikowem ogłoszeniu w pismach czytywanych przez inteligencyę lub specyalistów, wyznaczyło licytacyę w zimie i tym sposobem ograniczyło całą sprzedaż do szczupłego współzawodnictwa ogrodników, mogących nabywać towar „partyami." Może to jest najłatwiejsze zrzucenie sobie z głowy kłopotu, ale czy najwłaściwsze dla stowarzyszenia z programem apostolskim? Ach te frazesy, za którymi czyny nie chodzą!.. *O.*

Narady ziemiańskie.

My jesteśmy specyalistami od „poruszania," „noszenia się z myślą" i „rzucania" jej. Każde stowarzyszenie, każda narada musi coś „poruszyć" lub „rzucić." Czyni to również z godną podziwu wytrwałością sekcya rolna Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Na ostatnich zebraniach „poruszono" jedną myśl — ubezpieczenia się przeciwko sfałszowaniom nawozów sztucznych i „rzucono" drugą — nabywania ich gromadą. Nad tym ostatnim projektem rozprawiano długo, szeroko i — zdaje się — daremnie. Gdyby bowiem ziemianie nasi nie zasięgali nawet skądinąd wiadomości, tylko przeczytali rachunek, umieszczony w wydanej niedawno przez Wasilewskiego po polsku broszurze słynnego niemieckiego badacza Wagnera a wykazujący, ile rolnicy tamtejsi zaoszczędzają sobie wydatków, nabywając zbiorowo nawozy sztuczne, doszliby z pewnością do przekonania, że nad tem wiele radzić nie trzeba a zrobić warto. Niestety, nie mamy żadnej nadziei, ażeby poszli za tym przykładem. Nagadawszy się, poprzestaną na „poruszaniu" i „rzucaniu" myśli, które gdzieindziej dawno już zostały spełnione, a u nas spoczywają w łonie rozmaitych komisyj, kupujących mączkę z żużli Tomasa bez fosforu a kainit bez potażu i „noszących się" z zamiarem zdobycia kiedyś mączki z fosforem a kainitu z potażem. Wszelkich cnót można temu postępowaniu odmówić, ale senności — nigdy.

Wystawa nasion.

Jest to właściwie wystawa nasion oraz rzeczy z gospodarstwem rolnem związek mających i... niemających. Bo jakkolwiek ziemianie używają również mydeł, talerzy, rękawiczek itd., trudno wszakże te artykuły, które przyczepiły się do wystawy, uważać za artykuły gospodarstwa wiejskiego. Co do nasion, okazano je w pokaźnej liczbie i pięknych gatunkach, zwłaszcza zboża. Biedniej przedstawiają się warzywa. Ale nawet i te wyborowe pszenice, żyta, owsy i jęczmiona leżą w workach nieme: nie opowiadają nam ani swoich dziejów, ani płodności, ani warunków rozwoju, ani stosunku do gleby i klimatu. Odmian swojskich, zastosowanych do natury i potrzeb naszego kraju, przeprowadzonych przez liczne i ściśle doświadczenia, wypróbowanych pod każdym względem, nie widzimy, albo, jeżeli są, nie wiemy o nich. Wogóle informacyjna strona wystawy jest zaniedbana. Taką drogą do niczego nie dojdziemy i niczego się nie nauczymy.

Lombardy prywatne.

Właściciele fanciarni prywatnych zaniepokojeni są wdzieraniem się światła do ciemnego zagłębia ich działalności. Wiedzą oni dobrze, iż wślad za kagańcem wniesio-

nym do kryjówek, mieszczących ich gospodarstwo, wejdzie nieubłagana reforma i potężniejszy działający otwarcie współzawodnik w postaci rozrostu ramion lombardu miejskiego. Zobaczmy, na jakich podstawach rozpostarli swoje usługi ci zagrożeni. R. 1879 ministeryum spraw wewnętrznych wydało przepisy dla „prywatnych kas pożyczkowych," w celu stworzenia w miastach jawnej, taniej i powszechnie przystępnej pomocy kredytowej na zastaw odzieży, mebli, kosztowności i innych przedmiotów. Przepisy pozwalały utrzymywać lombardy tylko osobom „nieposzlakowanej uczciwości" i dającym rękojmię materyalną. Stało się atoli zupełnie inaczej; prawie we wszystkich miastach przedsiębiorstwo to dostało się w ręce spekulantów, nieposiadających częstokroć nawet pieniędzy. W Warszawie, jak utrzymuje *Dniewnik*, większość właścicieli takich kas ma bardzo małe środki pieniężne. Dla obrotów zaciągają oni pożyczki na wysokie odsetki od żydów-kapitalistów, wyłącznie trudniących się tymi interesami. Rzecz prosta, iż dla opłacenia procentów lichwiarskich i pobierania ich na własną rękę, obdzierają niemiłosiernie pożyczkobierców. Co do uczciwości, trzynastoletnie doświadczenie dowiodło, jak trudno ją odnaleźć, nawet pod drobnowidzem. Fanty są przyjmowane nawet w wypadkach budzących podejrzenie kradzieży. Licytacya niewykupionych i nieprolongowanych przedmiotów odbywa się nieprawidłowo, ze szkodą zastawców. Oto obrazek, wiernie naszkicowany w *Warsz. Dniewniku*: „Właściciele lombardów nieraz porozumiewają się z gromadką handlarzów, którzy przybywają na licytacyę ze swymi wspólnikami, zajmują przy stole najlepsze miejsca i nie dopuszczają nikogo innego. Przy takich warunkach sprzedaż odbywa się nadzwyczaj tanio. Częstokroć właściciele lombardów różnymi sposobami przeszkadzają zastawcom w wykupywaniu przedmiotów, przeznaczonych po upływie terminu prolongaty na licytacyę publiczną; a przecież podług przepisów, właścicielowi wolno wykupić swoje fanty aż do chwili, kiedy z uderzeniem młotka będzie oddany na rzecz innego nabywcy. Nie zawsze też właściciele lombardów prywatnych zwracają zastawcom pieniądze, otrzymane wyżej nad cenę zastawu po sprzedaży licytacyjnej." Wszelkie nadużycia tego rodzaju bezkarnie dotąd się szerzą zarówno w Warszawie, jak i innych miastach. Otóż obecnie coraz silniej popierania przez sfery wpływowe myśl utworzenia lombardów pod kierunkiem zarządów miejskich lub rozszerzenia działalności istniejących, jeżeli nie usunie całkowicie, to przynajmniej poskromi znacznie obecne nadużycia. Lombard miejski ma rozszerzyć swoje czynności i otrzymać odpowiedni kapitał na urządzenie kilku filii. Niezależnie od tego ograniczone będą znacznie procenty pobierane przez lombardy prywatne od sum 10-rublowych tudzież przy prolongatach. W tym ostatnim bowiem wypadku koszty administracyjne znacznie się zmniejszają. Tym sposobem łupiezcy, polujący w mętnej wodzie, będą musieli przerzucić się na inne fale wyzysku, mniej skrępowane i śledzone, pozostaną zaś względnie uczciwi spekulanci, którzy będą musieli się liczyć z współzawodnictwem lombardów miejskich. Przypuszczać potrzeba, iż filie powstaną w dzielnicach najuboższych, tj. tam, gdzie fanciarnie prywatne najszerzej działają. *Dr.*

Kasa farmaceutów.

Na ostatniem zebraniu ogólnem Towarzystwa farmaceutycznego w Warszawie przedstawiono plan ustawy kasowej dla pracowników aptekarskich. Oto są ogólne zarysy warunków. Kasa podlega opiece i zwierzchniemu dozorowi gubernatora tudzież kontroli Towarzystwa farmaceutycznego. Członkami rzeczywistymi są farmaceuci, praktykujący w aptekach warszawskich i prowincyonalnych w całem Królestwie Polskiem, tudzież uczęszczający na kursy uniwersytetu tutejszego. Udział brać mogą także kobiety z tego zawodu. Fundusze (kapitał żelazny, obrotowy i przezorności) powstanie w ten sposób, w jaki się tworzy zwykle przy organizacyi kas tego typu (wyliczenie zatem szczegółów uważamy za zbyteczne). Kapitał obrotowy przeznaczony będzie na udzielanie pożyczek i pomocy naukowej, wsparć i zapomóg chorym członkom tudzież ich rodzinom, na utrzymanie lokalu i pensye oficyalistów. Z remanentu kapitału obrotowego odlicza się corocznie suma, potrzebna do oprocentowania wkładów członków na rachunek *A* kapitału przezorności w stosunku 6% rocznie. Kapitał przezorności dzieli się w księgach kasy na rachunki *A* i *B*; te zaś — na konta szczegółowe, oddzielne dla każdego z członków. Na rachunku *A* będą zapisywane wkłady każdego uczestnika wraz z przypadającymi procentami. Na rachunku *B* zapisywane będą sumy, powstałe z podziału w równych pomiędzy wszystkimi członkami częściach rocznego remanentu kapitału obrotowego, oraz sum, do których członkowie praw nie nabyli lub je utracili. Sumy z rachunku *A* wypłacane będą uczestnikowi po wystąpieniu z kasy, w razie zaś jego śmierci — spadkobiercom. Sumy na rachunku *B* stanowią własność kasy i dlatego nie podlegają aresztom sądowym. Przy ciągłem wnoszeniu należnych kasie opłat, każdy członek może nabyć prawa do otrzymania oprócz wkładów z rachunku *A*, sum zapisanych na rachunku *B* w następującym stosunku: po latach 5 — w ilości 25%, po 10 — 50%, po 15 — 75% i po 20 — 100%, czyli całkowitej należności z rachunku *A* i *B*, chociażby nadal uczestnik pozostał członkiem kasy. W razie śmierci uczestnika lub niezdolności do pracy, komitet może wypłacić jego rodzinie lub jemu (zniedołężniałemu) całą sumę, zapisaną na rachunek *B*, nawet przed terminami wyżej wskazanymi. Jeżeli ów projekt w całej rozciągłości uzyska zatwierdzenie władzy, pracownicy aptekarscy może w przyszłości mniej niewolniczo podlegać będą słynnemu wyzyskowi swych pracodawców.

Ujawniona spółka.

Ciemnię gruntu, w który zapuścił swe korzenie i z którego wysysa soki dla wytworzenia charakterystycznych kwiatów i owoców *Kraj* petersburski, oświetlił *Kuryer warszawski*. Dostarczają więc mierzwy tej roślinie (na mocy aktu sporządzonego w r. 1890) pp. Władysław hr. Branicki, L. Jankowski, E. Herbst, J. hr. Potocki, I. Bloch i W. Spasowicz a ogrodnikiem pozostaje nadal słynny p. Piltz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Z ruchu przemysłowego. Nagły wzrost cen przędzy bawełnianej (2 kop. na 10-funtowej paczce), wynikły skutkiem alarmujących wieści o nieurodzaju bawełny w Ameryce, rozniecił wogóle zapał zwyżkowy śród wszystkich większych towarzystw akcyjnych, wytwarzających towary z tego produktu. Z dniem 15 listopada, za wyłączeniem dotąd bojek i kreasów, wszystkie inne wyroby podrożały o ¼— do ½ k. na arszynie w sprzedaży hurtowej. Wogóle dążność zwyżkowa w cenach materyałów surowych nietylko w Łodzi się ujawnia; to samo zauważono i odczuto na ostatnim większym jarmarku w Charkowie. Zapasy wełny w Cesarstwie są już na wyczerpaniu z powodu „dobrze zapowiadającego się sezonu." Zakłady towarzystwa akcyjnego Karola Scheiblera rozszerzają swoją produkcyę i potęgę na gruzach pomniejszych przedsiębiorców. Niedawno fabrykę K. A. Mejerhoffa w Zgierzu, obejmującą tkalnię i przędzalnię, zlikwidowaną wskutek upadłości firmy, nabył za 333,000 rs. ów olbrzym produkcyi fabrycznej.— Delegatowi ministeryum skarbu, p. Bazylewskiemu, powierzono zbadanie przyczyn „krachu cukrowego" w gub. południowych, tudzież ogólnych warunków tej gałęzi wytwórczości w całem państwie. W tym celu delegat przybywa obecnie do Królestwa Polskiego dla bliższego zapoznania się z cukrownictwem tutejszem.

Kara. W początkach r. b. Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem skazane zostało przez warszawską Izbę skarbową na karę 105,000 rs. za nieopłacenie odpowiedniego stempla od akt, na mocy których majątki zastawione w Towarzystwie i niesprzedane na licytacyach przechodziły na własność instytucyi. Od tego postanowienia Towarzystwo apelowało do senatu. Skarga jednak apelacyjna została odrzucona. (*Prawit. Wiest.*).

Z rynku.

Targi warszawskie. *Na Pradze* 22 listopada. Ożywienie panowało znaczne. Za żyto płacono: wyborowe 84—86 kop. (pud), średnie 82—83, pospolite 79—81. Owies wyborowy 90—94, średni 84—88, pospolity 79—82. Gryka bardzo poszukiwana 97—101. Jęczmień browarny sprzedawano po 84—95, na paszę 74—75. Kasza jaglana 96—106 k. *Magazyny tranzytowe*: Żyto 77—84, jęczmień 75—92, owies 76—94, kasza jaglana 98—108, gryka 95—100 k. *Plac Witkowskiego*: Ruch ospały, dostawy dość znaczne. Za pszenicę wyborową płacono 6,40—6,50 (korzec), średnią białą 6,35, pstrą 6,15. Żyto wyborowe 4,90—4,92½, średnie 4,65—4,83. Owies 2,90—3,30 stosownie do gatunku, siano 40—45 kop. pud, słoma 22½—25 k.

Okowita. Hurtowa w. 100° brutto z potr. 2% 11,03, netto bez potr. 10,81; wiad. 78° br. z potr. 8,60, n. bez potr. 8,43. Szynkowa w. 100° br. z potr. 11,18, n. bez potr. 10,96; wiad. 78° brutto z potrąc. 3,72, netto bez potr. 8,54,

Zasiewy ozime w Królestwie, Cesarstwie i na Kaukazie według danych urzędowych, są dość pomyślne. W niektórych miejscowościach na wschodzie cesarstwa, w gub. Królestwa, g. wołyńskiej bardzo dobre.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. R. 1891 włościanie w Królestwie Polskiem nabyli przy pomocy Banku swego 6,038 dziesięcin ziemi za 769,563 rs. Wogóle udzielono 60 pożyczek, z których 58 stowarzyszeniom włościańskim, 1 osobom pojedynczym. Najwięcej gruntów chłopi nabyli w guberniach kaliskiej, kieleckiej i piotrkowskiej. W siedleckiej zaś i suwalskiej za pomocą banku nie kupili ani jednej piędzi.

— Senat ogłosił za pośrednictwem *Gońca urzędowego*, że świadectwa szlacheckie podlegają opłacie po 10 rs. od osoby, jeżeli dowody te są wydawane dla jednostek, pochodzących od b. szlachty polskiej i urodzonych przed ostatecznem zatwierdzeniem przez senat ich rodu szlacheckiego. We wszystkich innych wypadkach świadectwa wydawane z heroldyi Królestwa Polskiego podlegają opłacie stempla po 5 rs. od osoby.

— Komisya kolonizacyjna nabyła dotychczas w ciągu r. 1892 dziewięć majętności w W. Ks. Poznańskiem ogółem 8 574 hektary.

— Oprócz przytułków noclegowych, będą urządzone w Warszawie podczas mrozów izby ogrzewane przy kancelaryach cyrkułowych.

— W Paryżu powstało nowe towarzystwo ubezpieczeń p. n. „La famille française" dla ulżenia rodzinom niezamożnym ciężaru w postaci dzieci.

— W Wiedniu 40,000 robotników bez pracy rozpoczęło mityngi.

Szkoły. Z rozporządzenia władzy naukowej opłata szkolna r. b. we wszystkich klasach szkoły rzemiosł imienia Konarskiego w Warszawie, podwyższona będzie z rs. 10 do 20 rocznie.

— Wychowańcy przekształconej szkoły gospodarstwa w Nowej Aleksandryi otrzymali nowe umundurowanie.

— Ministeryum oświaty w porozumieniu z ministeryum skarbu i spraw wewnętrznych opracowało projekt szkół fabrycznych. Wszystkie fabryki, które dotychczas nie urządziły jeszcze u siebie uczelni, obowiązane będą otworzyć je na koszt wspólny. Szkoły po-

winny się składać z dwóch oddziałów: ogólnego i specyalnego.

— Opłata szkolna we wszystkich klasach gimnazyum na Pradze z początkiem b. r. szkolnego podwyższona będzie z 40 do 50 rs. rocznie.

Sprawy kolejowe. W planie reformy taryfy osobowej zakreślono wprowadzenie na wszystkich kolejach przy pociągach pasażerskich — czwartej klasy o 25% tańszej od trzeciej. Z uwolnieniem zaś od podatku skarbowego klasa IV tańsza będzie od III o 40%.

— Z powodu wzmożenia się ruchu towarowego na kolei Nadwiślańskiej i wielkiego napływu towarów do Warszawy, praca w ekspedycyi towarowej zwiększyła się znacznie, tak iż urzędnicy nie mogą jej podołać w godzinach biurowych. Skutkiem tego na stacyi Warszawa nadwiślańska ustanowiono dyżury nocne z oddzielnem wynagrodzeniem.

— Nieraz się zdarzało, iż służba stacyjna nie pozwalała publiczności na zapisywanie skarg w księgach zażaleń. Obecnie zarząd kolei Nadwiślańskiej zastrzega, ażeby księgi te były umieszczone w miejscach widocznych. Jednocześnie zaleca, ażeby urzędnicy i oficyaliści zachowywali się uprzejmie wobec publiczności.

— Z dn. 19 b. m. p. Karol Sulikowski zdał swoje urzędowanie w ręce p. Rydzewskiego, nowego dyrektora kolei Wiedeńskiej.

Telefony. Komunikacya telefoniczna znajduje coraz szersze zastosowanie na wsi. Według zapewnień *Kur. warsz.* w radomskiem połączono sześć folwarków z główną administracyą dóbr.

— Kolej Peterskurska zastosowała pierwsza do użytku telefony na znacznej przestrzeni. Pomiędzy Warszawą a Landwarowem (pod Wilnem) utworzono prawidłową komunikacyę na przestrzeni 371 wiorst. Ogółem urządzono 171 telefonów, z których większą część umieszczono w budkach dróżników, mniejszą — na 12 stacyach. Pierwsze próby powiodły się bardzo pomyślnie.

Zdrowie publiczne. Przy ul. Franciszkańskiej pod nr. 19 wykryto, że dwaj stróże nie mają mieszkania lecz nocują w łaźni.

— Z powodu wygasania cholery w Warszawie, lekarze w ustanowionych rewirach otrzymują stopniowe zwolnienie od przyjętych obowiązków.

Literatura i sztuka. W Krakowie 15 b. m. rozstrzygnięto konkurs dramatyczny im. Wołodkiewicza, ogłoszony przed dwoma laty. Pierwszą nagrodę, 500 złr. otrzymała panna Helena Ceysingerówna z Michalewa za dramat w 4-ch aktach, osnuty na tle walk Dalmacyi z Wenecyą p. t. „Zwalczeni."

— Bardzo jałowy ujawnił się rezultat konkursu, ogłoszonego przez „Lutnię" na napisanie muzyki na chór męzki do ballady Or-Ot'a „Śpiewak zwycięzca." Sędziowie uznali, iż żaden z nadesłanych trzech utworów nie nadaje się do nagrody.

Bibliografia. Dr. Antoni J. *Sylwetki historyczne*, serya VIII, str. 404, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Ignacy Dąbrowski, *Śmierć*, studyum, str. 188, Warszawa, Paprocki.

— *Łodzianka*, kalendarzyk humorystyczny, str. 64, Łódź, W. Koliński, cena kop. 20.

Zmarli. Natalia z Augustynowiczów Sokołowska, w Warszawie, nauczycielka, współpracowniczka *Wieczorów rodzinnych* i *Przyjaciela dzieci*.

— Fryderyk v. Hellvald, znakomity historyk kultury i geograf, zmarł w Tölz 1 listopada.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Paw. Ant, w Łyczk. Korzona *Hist. powsz.* w 3 tomach. Nowożytna jeszcze nieskończona. Może będzie nieco za obszerna, ale lepszej nie ma.

P. Hor. w Kor. Przy pracy spółkowej i podjętej bez poprzednictwa niepodobna uniknąć usterek i różnic. Co do opuszczeń, większa ich część nie wynikła z winy autorów.

P. A. Garl. w Odesie. W przyszłym numerze podamy wykaz żądanych książek.

P. H. K. w Łęczynie Nowem. Papier stemplowy zaprowadzony u nas w roku 1811. Następnie w roku 1863 zamieniony został na inny, znowu wycofany w r. 1884, kiedy wprowadzono obecnie obowiązujący. W *Jeziornie* fabryka papieru istniała oddawna, więcej niż od stu lat; ale kiedy była założoną i przez kogo, nie ma żadnych pewnych wiadomości. Od 1812 r. nosiła nazwę *Królewskiej*, potem przeszła na własność Krzyczewskiego, a w 1830 r. stała się własnością Banku Polskiego.

P. Jordanowi Deli... Podręcznikiem takim jest „Geografia rozumowa" W. Nałkowskiego.

P. I. Borowskiemu. W próbce pańskiej wyjaśnienie kwestyi postawionej w artykule Nałkowskiego: „dla czego fauny mórz Śródziemnego i Czerwonego są różne mimo to, że dzielący je przesmyk jest świeżego pochodzenia," *przesmyk* sueski został pomieszany z *kanałem* Sueskim. Jeżeli przesmyk jest świeżego pochodzenia, to znaczy, że morza te w niedawnej przeszłości geologicznej łączyły się z sobą, a więc i fauny ich powinny się były połączyć i być jednakowemi. Wyjaśnienie, dla czego *mimo to* tak nie jest, znajdzie Pan w artykule Nałkowskiego „Azya." Co do *kanału*, to ten w danej kwestyi nie wywarł dotąd skutku: dyffuzya faun odbywa się przezeń bardzo powolnie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 13 Ноября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.